SZKOŁA CHRYSTUSOWA

145



1938 VII–VIII

[1-2]

TREŚĆ SOMMAIRE

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO

ROK IX — TOM XVII



LWÓW 1938

DRUKIEM I NAKŁADEM WYDAWNICTWA OO. DOMINIKANÓW

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ



XVII—1-2 LIPIEC-SIERPIEŃ 1938

SZKOŁA CHRYSTUSOWA

MIESIĘCZNIK

MORALNA OCENA BOJAŹNI NIEWOLNICZEJ

A. Godziwość bojaźni niewolniczej. Wedle nauki św. Tomasza — potwierdzonej zresztą przez nieomylną naukę Kościoła — bojaźń niewolnicza co do swej istoty jest nienaganną, dobrą, zbawienną: natomiast zła jest służalczość, która mogła by łączyć się z bojaźnią niewolniczą. Terminologia nowoczesna oznacza służalczość mianem: *timor serviliter servilis*, bojaźń niewolniczą zaś jako: *timor simpliciter servilis.*

Jaka tedy zachodzi różnica między służalczością a bojaźnią niewolniczą? Usposobienie służalcze wyraża się w zdaniu: „Chętnie grzeszyłbym, gdyby nie było kary wiecznej". W tych słowach zawiera się wyraźne przywiązanie do grzechu, toteż podobne nastawienie służalcze, co jedynie pod przymusem i zewnętrznie tyl-

ko[1]) zachowuje prawo boże, wyklucza miłość nadprzyrodzoną, której znamieniem jest, że działa dobrowolnie i chętnie, przynaglona własnym pędem wewnętrznym. Ponieważ jedno usposobienie nie da się pogodzić z drugim, dlatego gdyby bojaźń niewolnicza zawierała w sobie niewolniczość czyli służalczość, żadną miarą nie mogłaby zasługiwać na dodatnią ocenę moralną. W rzeczywistości jednak nie ma łączności koniecznej między usposobieniem służalczym a bojaźnią niewolniczą: ta ostatnia oznacza poprostu tylko obawę przed karą wymierzoną przez Boga: taka zaś bojaźń samo przez się nie może być złą.

Co więcej, ponieważ jedyną przyczyną kary jest grzech, w bojaźni niewolniczej zaznacza się także oderwanie od grzechu: nastrój zawarty w tej bojaźni można by wyrazić następująco: „Nie chcę grzeszyć, nienawidzę grzechu, ponieważ zasługuje on na karę wieczną". Toteż bojaźń niewolnicza, wyrzekając się wszelkiego przywiązania do grzechu, bez wątpienia zasługuje na dodatnią ocenę moralną.

Ponadto jeszcze, kto powoduje się służalczością, za największe zło uważa karę, któraby mogła go spotkać: a więc siebie samego stawia ponad Boga i ponad zachowanie jego prawa. Inaczej w bojaźni niewolniczej bez służalczości, która przestrzega właściwej hierarchii dóbr: człowiek chce uniknąć kary, ale bynajmniej nie przenosi dobra własnego ponad wymagania prawa bożego.

---

1) Kwietyści właśnie pomawiali wszelkiego rodzaju bojaźń o to, że tylko „rękę powstrzymuje" — *cohibet manum* (Denz. 1411.)

Aby więc bojaźń niewolnicza była godziwą, grzesznik powinien wyrzec się nie tylko zewnętrznie samego uczynku grzesznego, ale nawet samego przywiązania do grzechu, czyli powinien wyzbyć się ducha służalczości. Jeśli ten warunek jest spełniony, jeśli bojaźń Boga, chociaż mająca na oku karę, — i dlatego niewolnicza, — jednak odrzuca wszelką chęć grzechu, staje się moralnie dobrą: nie jest coprawda nastrojem w tej mierze najdoskonalszym, ale zawsze zachowuje swoją wartość i swoje znaczenie dla życia duchowego.

Tę samą zasadniczą wartość zachowuje bojaźń niewolnicza nawet u grzesznika, pozbawionego łaski uświęcającej, a tym samym odwróconego od celu ostatecznego. Jeśli stan jego nazwiemy niewolą grzechu, będziemy mogli stwierdzić, że bojaźń niewolnicza jest i pozostaje dobrą, nawet jeśli łączy się ze s t a n e m niewolniczości.

Nie wszystko bowiem, co czyni grzesznik, jest grzechem, wyjąwszy gdyby w uczynku skądinąd obojętnym albo nawet dobrym chciał zaznaczyć swoje wrogie usposobienie wobec Boga. Św. Tomasz w tej mierze mówi, że nie wszystkie uczynki niewiernych są grzechem, jeśli nie pochodzą wyraźnie z pobudki niewierności: ponadto Doktor Anielski odpiera błędne mniemanie tych, którzy wymagali, by każdy uczynek pochodził choćby tylko pośrednio z miłości nadprzyrodzonej, — inaczej miałby stać się grzechem śmiertelnym.

Stosując te zasady do bojaźni bożej, należało by powiedzieć, że tylko wtedy grzesznik

obawiając się kary dopuszcza się ponownego grzechu, jeśli tym samym chce podkreślić swoje odwrócenie się i niezależność od Boga: co równoznaczne jest z przeniesieniem własnego dobra osobistego ponad dobro boże. Tego rodzaju bojaźń oczywiście sprzeciwia się Bogu: jest to usposobienie służalcze, pokładając cel ostateczny i najwyższy w uniknięciu kary. Jeśli natomiast grzesznik nie posuwa się do podobnej przewrotności, lecz po prostu tylko obawia się kary bożej za swoje postępowanie, z zachowaniem właściwego stopniowania celów, bojaźń jego będzie niezawodnie mniej doskonałą od bojaźni niewolniczej człowieka usprawiedliwionego, u którego wszystkie dobre uczynki uświęcone są miłością nadprzyrodzoną: zawsze jednak bojaźń taka pozostaje dobrą, chwalebną, moralnie nienaganną.

B. Charakter nadprzyrodzony bojaźni niewolniczej. Wspomniane zalety bojaźni niewolniczej nie tylko pozwalają na dodatnią jej ocenę moralną, ale bezsprzecznie wskazują, że w danych warunkach może ona przybrać charakter nadprzyrodzony. Taka jest też nauka Kościoła, skoro zdanie przeciwne wyraźnie zostało potępione.

Charakter nadprzyrodzony bojaźni niewolniczej wynika z nadprzyrodzoności jej przedmiotu. W tym względzie, jeśli weźmiemy pod uwagę utratę szczęśliwości wiecznej, jako największe zło mogące spotkać człowieka, ponieważ wkraczamy tu do zakresu wiary nadprzyrodzonej, bojaźń niewolnicza stąd płynąca, jest niewątpliwie nad-

przyrodzoną. Toteż św. Tomasz przyznaje, że bojaźń niewolnicza bierze początek swój we wierze, chociażby tylko martwej, czyli nieożywionej przez miłość Boga.

Również doświadczenia, próby, cierpienia i niepowodzenia życia obecnego wolno nam wziąć w rachubę. Jeśli w nich widzieć będziemy tylko przyjazny lub nieprzyjazny zbieg okoliczności oraz wzajemne oddziaływanie czynników przyrodzonych, obawa, która budzi się w nas wobec złowrogiej przyszłości, nie może oczywiście mieć pretensji do nadprzyrodzoności: jeśli natomiast, patrząc się okiem wiary, uznamy we wszystkich grożących nam karach i doświadczeniach zrządzenie sprawiedliwej Opatrzności bożej, przenosimy się do dziedziny nadprzyrodzonej, natenczas obawa przed cierpieniami obecnego życia będzie nosiła charakter nadprzyrodzonej bojaźni niewolniczej[2]).

Ten właśnie nadprzyrodzony charakter bojaźni niewolniczej sprawia, że zalicza się ona do rzędu tych wszystkich czynników nadprzyrodzonych, które składają się na akt pokuty czyli nawrócenia się do Boga. Obawa przed karą bożą jako pobudka żalu zwanego niedoskonałym, przygotowuje żal doskonały, płynący z nadprzyrodzonej miłości Boga jako Dobra najwyższego[3]).

Ale mimo swego charakteru nadprzyrodzo-

2) Por. A. Beugnet, art. Attrition, w Dict. de Théol. Cath., t. I, col. 2249 s.

3) Por. III, q. 85, a. 5. J. Perinelle O. P., L'attrition au Concile de Trente, Le Saulchoir 1927, str. 123 n.

nego bojaźń niewolnicza nie dorasta do pełnej doskonałości cnoty wlanej. Już ta okoliczność, że przedmiotem wszelkiej bojaźni jest zło, cnota zaś z istoty swej skierowana jest do dobra, wykazuje, że niepodobna zaliczać jej do zespołu cnót chrześcijańskich. Niezawodnie i cnota wszelka, dążąc do swego udoskonalenia unika zła, ale podobnie jak szuka dobra, niejako bezinteresownie, dla własnej jego zacności, tak też oddala się od zła jako takiego. Nie sprawdza się to już w dziedzinie bojaźni niewolniczej, która nie tyle obawia się zła z powodu jego złości, ile raczej pragnie uniknąć niebezpieczeństwa zagrażającego jej ze strony zła. Toteż bojaźń niewolnicza należy do rzędu sprawności dobrych, w rodzaju powściągliwości (*continentia*), które w miarę jak wzrasta doskonałość człowieka, same umniejszają się i stopniowo tracą na aktualności, ustępując miejsca dla działalności sprawności od siebie wyższych, które już w całej pełni urzeczywistniają pojęcie cnoty.

C. B o j a ź ń   n i e w o l n i c z a   w s p ó ł i s t n i e j ą c a   z   b o j a ź n i ą   s y n o w s k ą. — Chociaż bojaźń niewolnicza uwzględniająca karę, rodzajowo różni się od bojaźni synowskiej, mającej na oku grzech czyli obrazę Boga i wypływającej z miłości nadprzyrodzonej, jednak obydwa rodzaje bojaźni mogą współistnieć, w tej samej mianowicie mierze, w jakiej współistnieć mogą miłość własna oraz miłość Boga. Jak wyjaśnia św. Tomasz, miłość własna potrójne może zająć stanowisko wobec miłości bożej.

a. Miłość własna może sprzeciwiać się miłości bożej, co wtedy ma miejsce, gdy ktoś w samym sobie pokłada cel ostateczny.

b. Miłość własna może utożsamiać się z miłością bożą, jeśli ktoś miłuje siebie dla Boga i w Bogu.

c. Gdy ktoś siebie miłuje dla innych względów, różnych od pobudki miłości bożej, takich jednak, któreby można sprowadzić do pobudki miłości bożej.

W taki sam potrójny sposób możemy obawiać się kary:

a. Obawiając się nade wszystko i jedynie utraty własnego dobra: tego rodzaju bojaźń sprzeciwia się miłości nadprzyrodzonej, która każe cenić Boga ponad wszystko. Jest to bojaźń służalcza.

b. Obawiając się odłączenia od Boga oraz niemożliwości chwalenia go przez całą wieczność: tego rodzaju bojaźń zawiera się w samej miłości bożej.

c. Obawiając się o własne dobro, zachowując jednak przy tym hierarchię celów: obawiając się także odłączenia od Boga, nie tyle ze względu na Boga, ile ze względu na siebie, aby mianowicie nie utracić tak wielkiego dobra, jakim jest Bóg.

Obydwa więc rodzaje bojaźni, synowska zarówno jak i niewolnicza, w tej samej duszy współistnieć mogą.

Cała siła powyższego dowodu św. Tomasza w tym się streszcza, że miłość własna, jako prze-

jaw wrodzonej skłonności człowieka nie zanika nawet wtedy, gdy miłość boża wstępuje do duszy, ponieważ udoskonalenie nasze nadprzyrodzone nie może niszczyć podstawowych czynników naszej natury, owszem, w tych właśnie czynnikach musi znaleźć swoje oparcie.

W porządku nadprzyrodzonym bojaźń niewolnicza nie staje się więc zbyteczną. Wprawdzie także miłość jako cnota nadprzyrodzona obejmuje poza Bogiem nie tylko bliźniego, ale również samego siebie: jednakowoż wyłączną pobudką tej miłości pozostaje Bóg sam: miłością nadprzyrodzoną siebie samych miłujemy tylko dla Boga. Ten wyłączny wzgląd na Boga samego sprawia, że bojaźń, która wypływa z miłości nadprzyrodzonej, może być jedynie bojaźnią synowską.

Natomiast dobro własne samo w sobie nigdy nie może stać się przedmiotem miłości nadprzyrodzonej (*caritas*), co jednak nie wyklucza, by nie można uszlachetnić oraz uświęcić godziwej miłości własnej, będącej u podstaw bojaźni niewolniczej.

Ten sam odmienny punkt widzenia zaznacza się pod innym jeszcze względem. Nie powinno nas w błąd wprowadzać, że obydwa rodzaje bojaźni obawiają się odłączenia od Boga, ale jakże różni się zasadniczy nastrój w jednym i drugim wypadku: „Bojaźń synowska — mówi kard. Kajetan — lęka się odłączenia od Boga przez wzgląd na Boga samego: człowiek obawia się, aby nie żył dla Boga, bo z miłości nadprzyrodzonej wy-

pływa miłość samego siebie, aby żyć Bogu. Natomiast bojaźń niewolnicza ma na oku własne dobro, o ile człowiek obawia się utraty tak wielkiego szczęścia, jakim jest połączenie z Bogiem: tego rodzaju bojaźń wynika oczywiście z miłości samego siebie".

Chociaż więc obydwa rodzaje bojaźni: niewolnicza oraz synowska zasadniczo się różnią, wychodząc każda z odrębnego założenia, jednakowoż współistnieć mogą, w tych samych warunkach, w jakich pogodzić można nadprzyrodzoną miłość bożą z godziwą miłością własną. Wzajemne jednak ustosunkowanie się bojaźni niewolniczej oraz bojaźni synowskiej różne bywa zależnie od postępu i doskonałości samej miłości bożej, która zawładnęła duszą.

Skoro bowiem miłość boża może osiągnąć większy lub mniejszy stopień doskonałości — napięcie miłości nadprzyrodzonej zaznaczy się również w bojaźni bożej, która z niej się wyłania: bojaźń zawarta w miłości bożej, zasadniczo pozostaje bojaźnią synowską, w pierwszym zaś swym okresie, nacechowanym niedoskonałością, przybiera nazwę *bojaźni początkowej*. Taka bojaźń, jak wspomniano, utożsamia się z bojaźnią synowską; uwzględnia ona grzech jako obrazę Boga, ponieważ zaś jest jeszcze niedoskonałą, w wielkiej mierze posługuje się pobudką bojaźni niewolniczej, działa mianowicie jeszcze często z obawy przed karą.

W miarę postępu życia duchowego, kiedy to miłość nadprzyrodzona wzrastając coraz więcej

opanowuje wszystko, bojaźń niewolnicza, chociaż nie ustępuje całkowicie, już nie dostarcza pobudek działania: człowiek w postępowaniu swoim codziennym kieruje się już wyłącznie albo prawie wyłącznie miłością bożą, „nie jako sługa pod prawem, lecz jako wolny pod zakonem łaski zostający" (św. Aug. za św. Pawłem Rzym. 6, 14).

Wszakże szczytów doskonałości nie osiąga się od razu: bojaźń niewolnicza, która do duszy wprowadza miłość bożą — jak igła wprowadza nitkę do sukna, wedle porównania św. Augustyna — jeszcze na długi czas będzie dostarczać pobudki działania: iluż zresztą jest chrześcijan, którzy dlatego czynią dobrze, aby „nie zasłużyć na potępienie", co zdaje się oznaczać pobudkę bojaźni raczej niewolniczej niżeli synowskiej.

Czy jednak można wyobrazić sobie stan duszy tak doskonały, iżby zupełnie wykluczał bojaźń niewolniczą? Chociaż na pierwszy rzut oka takie przypuszczenie zdawałoby się możliwe, u dusz, które żyją jedynie Bogiem i dla Boga, jednak bojaźń niewolnicza pozostaje, nawet na najwyższym stopniu doskonałości. Prawda jest, że bojaźń niewolnicza zmniejsza się równocześnie z rozwojem miłości bożej i bojaźni synowskiej, nigdy jednak nie staje się zbyteczną.

Widzieliśmy, że w tej samej mierze współistnieje miłość boża z bojaźnią niewolniczą, w jakiej pogodzić można miłość bożą z miłością własną, skoro bojaźń niewolnicza wypływa właśnie z miłości samego siebie. Nigdy zaś człowiekowi nie wolno — byłoby to zresztą niemożliwe — stracić

z oczu własne dobro, własną istotną korzyść, własne szczęście, pod pozorem doskonalszej miłości dla Boga. Nie ma u stworzeń miłości całkiem bezinteresownej. Należycie pojęta miłość siebie jest podstawą wszelkiej innej miłości, także nadprzyrodzonej miłości Boga ponad wszystko. Wynika stąd, że człowiek nie może wyrzec się troski o swoje zbawienie, ani też bojaźni o karę, jest to metafizyczną niemożliwością. Toteż powiemy, że bojaźń niewolnicza, na najwyższym stopniu rozwoju życia duchowego nie tylko nadal trwać może, ale nawet musi. W ojczyźnie niebieskiej dopiero zniknie bojaźń niewolnicza, ale nie dlatego, że człowiek natenczas wyzbędzie się miłości własnej, lecz dlatego, że bojaźń niewolnicza straci swój przedmiot: człowiek nie potrzebuje już obawiać się utraty Boga.

Czy jednak można w stanie najwyższej doskonałości wykluczyć, jeśli nie samą bojaźń niewolniczą, przynajmniej jej pobudkę? W tym względzie zdania mogą być podzielone. Mógłby ktoś — na podstawie doświadczenia i spostrzeżeń — twierdzić, że nawet dusze, które osiągnęły wysoki stopień zjednoczenia z Bogiem, doznają w niektórych chwilach takich trudności i pokus, że wszelka pobudka miłości bożej zda się bezsilna, a tylko wyraźna pamięć na sąd boży i piekło zdoła je powstrzymać od zdrady Boga popełnieniem grzechu śmiertelnego.

Św. Tomasz jednak, chociaż wyraźnie nie wypowiada swego zapatrywania, nie zgodził by się niezawodnie na powyższe zdanie. Wspomina św.

Tomasz, że bojaźń niewolnicza, gdy wzrasta miłość boża, znika „zwłaszcza co do aktu swego", niestety jednak nie wypowiada się, czy w tych warunkach pobudka bojaźni niewolniczej znika całkowicie: gdzie indziej znowu wyraźnie zaznacza, że najmniejszy chociaż by stopień miłości bożej zdoła pokonać wszelkie pokusy, co należało by rozumieć o własnej pobudce miłości bożej, bez odwoływania się do pobudek niższych, płynących z bojaźni niewolniczej.

***

Tak więc bojaźń niewolnicza, choć nie dorównywa w doskonałości bojaźni synowskiej, czyli samemu darowi bojaźni, nieodzowna jest w życiu nadprzyrodzonym. Pierwsze kroki na drodze duchowej nie do pomyślenia są bez bojaźni niewolniczej, a i najwyższy stan zjednoczenia z Bogiem, w tym życiu dostępny, nie może pomijać sprawy własnego zbawienia i dlatego zachować musi, oprócz bojaźni synowskiej, także bojaźń niewolniczą. Bo dopóki żyjemy tym życiem doczesnym, zawsze winniśmy obawiać się własnej słabości i ułomności, które mogą nas narazić na utratę szczęścia wiecznego. I złego ducha mamy się zawsze obawiać: „który skoro zabije, ma moc wtrącić do piekła" (Łk. 12, 5). Toteż do wszystkich, zarówno doskonałych jak i niedoskonałych odnoszą się słowa Apostoła: *„Z bojaźnią i ze drżeniem zbawienie wasze sprawujcie"* (Fil. 2, 12).

O. Andrzej Gmurowski O. P.

ŚW. ANZELM Z KANTERBURY

(1033 — 1109)

Jedną z najcięższych niewątpliwie dla Kościoła epok był wiek XI, zwany częstokroć „żelaznym“. Świat ówczesny, jeszcze nie wyzwolony z pęt barbarzyństwa, stał na przełomie między okresem ciemnoty na polu religii, oświaty i kultury, a rozkwitem pełnego Średniowiecza.

Były to czasy burzliwe, zamącone szeregiem sporów między władzą duchowną a świecką, Kościołem a państwem. Ucisk panujących, rozprzężenie obyczajów, obejmujące nawet kler zarażony symonią i podupadły moralnie, nadużycia wypływające z przywileju inwestytury nadawanej przez możnych: oto bolączki i rany Kościoła, dla zagojenia których potrzeba było umiejętnego a silnego leczenia.

W dziedzinie zaś wiedzy, dostępnej wówczas tylko dla nielicznej garstki wybranych, panował zamęt, szerzyła się niewiara; umysły chciwe nauki pragnęły wyzwolić się z przeżytych systemów i dialektycznych, skostniałych formułek, zapożyczonych od starożytnych. Powstają zatem nowe

kierunki i szkoły, lecz wskutek swej krańcowości i nieumiarkowania, popadają w błędy, idą na bezdroża.

Wre walka nominalistów z realistami, wdziera się na teren teologii i grozi nieskazitelności dogmatu. Potrzebny był geniusz nauki, któryby swą prawowiernością i powagą nakierował na właściwe tory błądzące wśród ciemności umysły.

Do tych zadań tak ważnych i trudnych, Bóg powołał w tym czasie dwóch ludzi niepospolitej miary, którzy w różnych krajach Europy roztoczyć mieli szeroką działalność, objąć ówczesne palące potrzeby społeczeństwa, dźwignąć je i skierować ku świetnej przyszłości.

Pierwszy z tych mężów opatrznościowych był postacią pomnikową Średniowiecza, o charakterze ze stali, nie wchodzący w kompromisy z własnym sumieniem, gdy chodziło o prawo Boże; umiał zjednywać opornych, roztropnie a nieustępliwie usuwać nadużycia, hamujące prawidłowy rozwój życia kościelnego. Ten mąż niezłomny, tak opacznie nieraz sądzony, który „umiłował sprawiedliwość i znienawidził nieprawość", to wielki papież Grzegorz VII.

Drugim potężnym filarem Kościoła i chlubą jego był Anzelm z Kanterbury. Góruje on nad epoką, wedle słów biografa swego Jana z Salisbury, „jako gwiazda świetlana, która oświeciła nie tylko kraje latyńskie, lecz i Grecji dosięgła swymi promieniami".

Mąż to był ze wszech miar udarowany od Boga: obrońca wolności Kościoła, geniusz filo-

zoficzny, wytrawny teolog, pasterz nieustraszony, znawca dusz ludzkich, mnich umartwiony, psycholog i kierownik wyrozumiały, pisarz utalentowany i płodny, apostoł i wymowny kaznodzieja, mistrz i asceta, mistyk, a nade wszystko święty.

Oto jak różnorodną i bogatą w światła i barwy jest postać wielkiego biskupa, odcinająca się wyraziście na tle ciemnego i zasępionego wieku.

***

Ojczyzną były mu Włochy o lazurowym niebie ; miejscem urodzenia : dzisiejsza Aosta w Piemoncie, starożytna „Civitas Augusta", urocza miejscowość alpejska, leżąca na pograniczu ówczesnej Burgundii.

Ród jego mienił się być spokrewnionym z dynastią panującą w Sabaudii i zaliczał się do znakomitszych w kraju.

Smutnie upłynęło mu dzieciństwo : znaczne różnice usposobień i zapatrywań między rodzicami powodowały częste spory i tarcia, co wytwarzało nieraz przykrą atmosferę u domowego ogniska. Ojciec Anzelma, możny rycerz Gondulf, rozrzutny światowiec, któremu pole bitwy było żywiołem, nienawidził syna. Matka zaś Ermenberga, cnotliwa i pobożna niewiasta, prowadziła życie skupione i zamknięte w głębi zamku, unikając zgiełku i rozrywek. Oddana wychowaniu dzieci, wpajała w nie miłość Boga i bliźnich. Od niej to zapewne Anzelm zaczerpnął owej

słodyczy i dobroci, która go zawsze cechowała i przyciągała do niego najoporniejsze dusze.

Wcześnie budzić zaczęła się w chłopcu żądza wiedzy i rozwinęły się w nim niepospolite zdolności, rokujące wielkie nadzieje na przyszłość. Nauki pobierał w opactwie piemonckim Fruttuaria. Tu zapoznał się po raz pierwszy z zakonem Benedyktynów i uniesiony gorliwością już wtedy zapragnął do niego wstąpić. W ciężkiej chorobie błagał opata o przyodzianie go w habit mniszy, by móc „umrzeć zakonnikiem". Wszakże wówczas do tego jeszcze nie doszło.

Po śmierci matki młodzian dostaje się pod światowy wpływ ojca. Ostyga w nim pragnienie życia doskonalszego, a chęć do pracy umysłowej i duchowej schodzi na plan dalszy. Anzelm poczyna marzyć o świetnej karierze, o wesołych rozrywkach w towarzystwie kolegów; powoli gaśnie w nim iskra Boża, a „łódź jego serca miotana na rozhukanych falach świata, jakoby straciła kotwicę" (Eadmer). Wszakże ów moment załamania był u niego na szczęście tylko przejściowy. Bóg chciał użyć Anzelma za narzędzie do wielkich rzeczy i nie dozwolił mu zmarnieć wśród niskich pociech ziemskich.

Pamiętniki współczesne wspominają o tajemnej ucieczce Anzelma z domu rodzicielskiego. Różnie tłumaczą historycy przyczynę tej ucieczki: czy spowodowało ją nieporozumienie z gwałtownym Gondulfem, niesprawiedliwym i ostrym w swych wymaganiach, a uprzedzonym do syna, — czy też niepohamowana chęć nauki, dla której

młodzieniec nie widział zaspokojenia w rodzinnych stronach. A może ożyło w nim nieokiełzane, a częste w tej epoce, zamiłowanie do przygód, do szukania nowości, gonitwa za czymś nieznanym, nieosiągalnym inaczej, jak za pomocą swawolnego wyczynu?

Z jednym towarzyszem, późniejszym swym uczniem i biografem Eadmerem, o głodzie i chłodzie, wśród wichrów i zawiei, przebył niebosiężne alpejskie szczyty. Po uciążliwej przeprawie, 20-letni młodzian dociera do granicy, przebywa wzdłuż Francję, dochodzi do Normandii, a wreszcie osiada w mieście Avranches, wówczas siedzibie nauk i sztuk wyzwolonych. Młodość pełna walk i przygód wyrabia w nim zawczasu hart i tężyznę, tak mu potrzebną na przyszłość, w której czekały go cięższe jeszcze boje. Będzie musiał częstokroć stawiać czoło sroższym burzom i nawałnicom.

***

W owym czasie sławnym było w Normandii opactwo le Bec, założone przez Herluina, duńskiego, twardego rycerza, który zrzuciwszy żelazną zbroję, przywdział habit mniszy i zbudował ów klasztor własnym kosztem, wśród lasów północnych, nad szumiącym potokiem. Stąd nazwa opactwa, od wyrazu skandynawskiego *bec,* znaczącego „strumień".

Znakomitym mistrzem w owym opactwie był wówczas niedawno tam przybyły ziomek Anzelma, Lanfranco z Pawii. Pobożny i myśliciel, wsła-

wił się w swej ojczyźnie śmiałymi wystąpieniami przeciwko heretykowi Berengariuszowi. Rozgłos mądrości i wiedzy wybitnego profesora ściągnął ze stron dalekich do klasztornego zacisza liczną młodzież łaknącą nauki.

Anzelm z młodzieńczym zapałem zagłębiać się począł dniem i nocą w studiach teologicznych i filozoficznych. Lecz oto nagle nadchodzi z ojczystej Aosty wieść żałobna o śmierci jego ojca Gondulfa, który, na stare lata, po burzliwym życiu przywdział habit mniszy i zmarł w uczuciach skruchy i pobożności.

Znaczny majątek, zamek rodowy i rozległe włości przypadają w udziale młodemu studentowi. Błagalne prośby rodziny, która chce go sprowadzić w strony ojczyste, wzniecają walkę w sercu alumna. Stanął na rozdrożu, widząc przed sobą trojaką drogę: albo wróci do ojczyzny, by przejąć dziedzictwo ojcowskie i użyć bogatych dochodów na wspieranie ubogich i służbę pielgrzymom, lub też schroni się na pustelnię, by w ciszy, zdala od ludzi, rozważać prawdy wieczne i wieść ostre życie. Nęci go wszakże trzecia perspektywa i najsilniej pociąga: zostać mnichem pod regułą patriarchy zakonu, św. Benedykta i połączyć miłość czynną i rozdawczą dla bliźnich z kontemplacją rzeczy boskich i wiedzą ludzką.

Uderza weń również pokusa próżnej chwały: sława Lanfranca, tak ustalona i sięgająca w dalekie okolice opactwa, zaćmić może wpływ Anzelma i zniszczyć jego działanie; lepiej więc będzie

dla niego szukać odpowiedniejszego terenu pracy, by zabłysnąć uczonością i tym służyć sprawie Kościoła. „Dusza moja nie była jeszcze ujarzmiona — mawiał później Anzelm o tym przełomowym momencie swego życia — nie żyła jeszcze we mnie wzgarda dla świata. Czy mnich prawdziwy myśli o tym, by go czczono i szanowano?“ I tak dalej siebie strofuje: „Zrzuć pychę z serca i bądź mnichem tam, gdzie słusznie uważanym będziesz za ostatniego, gdzie dla miłości Boga będziesz deptany i za nic miany!“

Anzelm postanawia szukać znaku woli Bożej u tych, którym dana jest władza nad jego duszą. Za radą biskupa z Rouen decyduje się na krok stanowczy: zostanie mnichem w opactwie le Bec.

Zaledwie Anzelm przekroczył próg klasztoru, odznaczył się jako wzór dla współbraci. Asceta umartwiony, w pożyciu łagodny i usłużny, przestrzegający reguł i przepisów zakonu, pracownik niezmordowany, budował swe otoczenie. Dojrzała cnota młodego zakonnika, która jaśniała w nim pełnym blaskiem i niezwykłe jego zdolności zwróciły nań oczy wszystkich. Skoro więc tylko Lanfranco został opatem w okolicznym mieście Caen, Anzelma wybrano na przeora, a po śmierci Herluina, niespełna 40-letni zakonnik mianowany został opatem w le Bec.

Jako przełożony, Anzelm oddaje się całkowicie swym obowiązkom: dba nie tylko o dobro materialne trzódki mu zwierzonej i o liczny napływ sług Bożych w szeregi zakonne, ale troszczy

się nade wszystko o chwałę Bożą, o ducha gorliwości wśród braci, o ich pobożność i wykształcenie. A co jest wybitną cechą średniowiecznej zakonności, zwłaszcza benedyktyńskiej, specjalną zwraca uwagę na dzieła miłosierdzia, szczególnie w stosunku do okolicznych biedaków i mnogich w owym czasie pielgrzymów. W ten sposób wpływ jego promieniuje nie tylko w obrębie samego opactwa, ale na obszarze całej Normandii, obejmuje północną Francję, a nawet przyczynia się do uspokojenia dzikich umysłów i złagodzenia barbarzyńskich obyczajów tak ludności wiejskiej, jak i magnatów rezydujących w zamkach feudalnych.

Na stanowisku opata Anzelm zasłynął po wszystkie czasy jako wzór niedościgniony o j c a, w pojęciu benedyktyńskim; rząd nad duszami pojmował jako służbę; nie patrzał na przywileje, jakie daje wysoki urząd, lecz dostrzegał w nim jedynie ciężar przyjęty z posłuszeństwa i odpowiedzialność przed Bogiem.

Przełożeństwo wedle niego ma być sprawowaniem miłości, a nie władzą, a tym mniej despotyzmem. W listach swych do innych przełożonych udziela w tym względzie rad i wskazówek, a zarazem odsłania nastawienie własnej duszy. I to nam tłumaczy wpływ niezmiernie silny, jaki wywierał dookoła siebie. To pojęcie ojcostwa duchowego, oparte na głębokiej pokorze i unicestwieniu siebie, a zarazem moc i słodycz jego rządów, sprawiły, że stał się ideałem zwierzchnika duchownego dla całych pokoleń mnichów.

Wśród niektórych jednak braci na widok tak młodego przeora powstała cicha, ukryta niechęć; grono zbuntowanych zamierzało podkopać jego autorytet, a szkalowaniem, zuchwalstwem i jawną opozycją zmusić go do ustąpienia.

Anzelm nie walczył z opornymi synami. Taktyką jego był niewzruszony spokój i wyrozumiałość. Zastosowanie tego systemu działania w stosunku do prowodyra rewolty, młodego i obiecującego brata Osborna, odniosło zupełne nad nim zwycięstwo. Anzelm ze szczególną troskliwością zajął się zbuntowanym zakonnikiem, dbając o jego potrzeby, użyczał mu jak najdalej idących ulg, wreszcie zyskał sobie jego serce, a stawszy się jego powiernikiem, powoli urabiał jego duszę. Z czasem Osborn stał się uległy i oddany przełożonemu, tak, że ten mógł go do woli napominać i karcić i zyskał wpływ całkowity na charakter młodzieńca, który począł dążyć za jego przewodem krokami olbrzyma, ku świętości. W końcu Osborn, w młodym jeszcze wieku, na ręku świątobliwego opata, pobożnie życie zakończył.

Stopniowo zyskiwał sobie Anzelm wszystkich braci wielką wyrozumiałością i znoszeniem ich wad, a szczególniej okazywał się troskliwym dla chorych, sam czuwał u ich łoża i oddawał im niekiedy najniższe posługi. „Zakonnicy kochali go jak ojca, chorzy zaś jak matkę“, pisze jego biograf.

Najwięcej wszakże oddziaływał na współbraci swoim przykładem. Toteż pisał do jednego z przełożonych a dawnego z uczniów swoich: „Cze-

go nie można dokonać słowami, życiem swym wykazać należy. Dobro skuteczniej się uwydatnia w przykładzie niż w mowie. Uczciwe, zacne obyczaje tego, co milczy, znajdują uznanie, gdy tymczasem obfitość słów tego, który mówi, lecz nie działa, spotyka się z pogardą".

Anzelm troskał się o dobra materialne klasztoru, i starał się o ich pomnożenie, unikał wszakże chciwości i skąpstwa. Za życia Herluina, będąc przeorem umiejętnie i roztropnie zawiadywał majętnościami opactwa, skoro jednak został opatem, zdał troskę o sprawy doczesne w inne doświadczone ręce, a sam oddał się głównie duszom powierzonych mu owieczek.

W razie potrzeby umiał być surowy i karcić nadużycia. Bezinteresowność, szczodrobliwość i dobroć bezgraniczna były wedle niego zasadniczymi cnotami przełożonych ; starał się sam wprowadzać je w życie i innych do nich zachęcał.

Sława świętości i uczoności Anzelma sprowadzała do niego z dalekich stron uczniów spośród rycerzy i szlachty. Gromadziły się koło opata zastępy młodzieży, pragnące podziwiać jego cnoty i usłyszeć światłe jego słowa. Mimo że Anzelm nigdy nie zachęcał nikogo do pozostania w opactwie, wielu młodzieńców, ujętych czarem jego dobroci i słodyczą jego kierownictwa, zgłaszało się do klasztoru w le Bec.

Z czasem opactwo stało się ogniskiem wiedzy i świętości i dostarczało wybitnych jednostek kierowniczych innym klasztorom w różnych krajach Europy. W ten sposób działalność Anzelma za-

taczała coraz szersze kręgi, duchowni zaś jego synowie, oddaleni na obczyźnie, zachowywali zawsze serdeczny stosunek z tym, którego nazywali swym ojcem.

Anzelm posiadał wybitny dar urabiania młodych dusz. Wprawdzie sam wyznawał, że wychowanie dzieci nie miało dla niego szczególnego uroku i tę gałąź pracy zostawiał innym zakonnikom, którzy prowadzili szkołę przy klasztorze pod jego czujnym i wytrawnym okiem. Jako roztropny zwierzchnik wiedział, że osobiście nie zdoła objąć całego terenu działania i rozdzielał zajęcia między podwładnych wedle ich zdolności.

W stosunku zaś do młodzieży świeckiej i zakonnej odznaczył się jako umiejętny i wytrawny pedagog. System jego różni się krańcowo od przyjętych ogólnie w tym czasie metod, w których przeważała surowość, nieraz bezwzględna i sztywna. Rozumiał, że dziecko prowadzone grozą, bite i karane bez ustanku, buntuje się wewnątrz na swych kierowników, usiłuje kryć się, oszukiwać; taki system zamyka drogę do serc młodocianych, wytwarza niechęć, kopie przepaść nie do przebycia między wychowankiem a wychowawcą i paczy charakter.

Anzelm był więc nowatorem w dziedzinie pedagogii. System swój oparł na zaufaniu. Połączenie słodyczy i siły, prostoty i przezorności, wielka przenikliwość i subtelne wyczucie zyskiwały mu młode serca i dawały nad nimi przewagę. Jeden rzut oka na ucznia, bystre i wnikliwe

spojrzenie mu w oczy, wystarczało Anzelmowi do poznania psychicznego stanu młodzieńca, jego usposobienia, lub też walki wewnętrznej, którą nieraz młody stoczyć w sobie musi, choć z różnym nasileniem. Miłość była główną sprężyną jego działania: kochać i być kochanym, był to wedle niego środek niezawodny trafienia do serca swych uczniów. Twierdził, że dusza młodzieńcza ma właściwość wosku, na którym z łatwością wycisnąć można wszelkie ślady.

Znamienną cechą Anzelma, jako wychowawcy, był wielki umiar, iście benedyktyński, który sprawiał, że niechętnie pozwalał gorliwym nowicjuszom na zbytnie umartwianie się zewnętrzne, opierając się na zasadzie, że „cnota wewnętrzna jedynie ma wartość". „Niczym są posty, — mawiał, — jeżeli dajesz się unosić naturze!" Żądał natomiast od tych, co dążyli do doskonałości, ścisłego zachowywania milczenia, opanowywania swoich skłonności, skromności i dobrego ułożenia, które pomaga w utrzymaniu w ryzach namiętności i złe popędy naturalne. Wskazówki udzielane nowicjuszom tchnęły pogodą, wytwarzały atmosferę ciepłą, rodzinną, sprzyjającą rozwojowi duszy.

Nauka stanowiła nieodłączną część wychowania zakonnego średniowiecznego mnicha, zwłaszcza benedyktyna. Wiedza uważaną była w tym czasie za szczebel prowadzący do prawdziwej ascezy, a zagłębianie się w prawdach wiary ułatwiało kontemplację. Toteż św. Anzelm kładł wielki nacisk na wykształcenie swych podwładnych

i sam nadał nowy rozpęd nauce w opactwie w le Bec.

Metoda jego nauczania była samoistną, wycisnął na niej indywidualne swe piętno. Wykładom swym nadał formę dialogu, co wprowadziło dużo życia i barwności. Dbały o korzyść swych wychowanków tak zakonnych, jak i świeckich, starał się usilnie o stosowanie ich wykształcenia do potrzeb przyszłego życia. Niezmiernie wysoko cenił studia klasyczne, jako środek do osiągnięcia wyższej kultury, lecz Pismo św. uważał za pierwszą podstawę gruntownej katolickiej uczoności.

Szereg wartościowych dzieł filozoficznych i teologicznych stawia Anzelma na czele ruchu umysłowego epoki. Z odwagą przystępował w nich do kwestyj najbardziej zawiłych i uważanych przez teologów ówczesnych za nierozwiązalne, a zwłaszcza omawiał stosunek wiary do rozumu.

Opierając się na św. Augustynie, usiłował rozstrzygnąć aktualne spory, a zwalczając niebezpieczne twierdzenia racjonalistów, budujących dogmat wyłącznie na rozumie, wyrzekł te znamienne słowa: „Oni szukają rozumu, bo nie wierzą, my go szukamy, bo wierzymy. Co do mnie — dodaje Święty — nie staram się rozumieć, abym wierzył, lecz wierzę, abym zrozumiał: Credo, ut intelligam“.

Tym pokornym i trafnym twierdzeniem Anzelm położył fundament pod teologię chrześci-

jańską. Chciał tym wykazać, że nawet jeśli powaga nauki Kościoła i Pisma św. wydaje się nam sprzeczną z naszym rozumieniem, jest to niezawodnym znakiem wadliwości tego rozumowania, choćby argumenty stawiane przez nas zdawały się niezbite. „Chrześcijanin, — mówił Anzelm, — nie ma prawa wątpić w istnienie tego, w co Kościół wierzy i co wyznaje; wolno mu jednak, zachowując nietkniętą wiarę i stosując do niej swe życie, kornie szukać dróg, by móc lepiej pojąć prawdę. Jeśli zrozumie, niech dzięki składa Bogu; w przeciwnym razie niech nie podnosi dumnie głowy do walki z prawdą, lecz schyli ją do uwielbienia Przedwiecznej Mądrości... Ci, którzy opierają się na rozumie, podobni są do sów i nietoperzy, które widzą niebo jedynie w nocy, a rozprawiają o świetle dziennym z orłami, patrzącymi niezmrużonym okiem na blask słoneczny".

Nie znaczyło to bynajmniej, by Anzelm doradzał ślepą i bezrozumną wiarę; wręcz odwrotnie: zachęcał do zgłębiania dogmatów i rzetelnego ich badania. „Byłoby z naszej strony niedbalstwem i lekkomyślnością, gdybyśmy nie usiłowali zgłębiać rozumem tego, w co wierzymy".

Żywił przekonanie, że ten, który staje do nauki usposobiony krytycznie, z chęcią podkopania wierzeń Kościoła, nigdy prawdy nie zrozumie, bowiem „nie wierząc, nie doświadczy słodyczy Boskich tajemnic, a gdy w nich nie zasmakuje, nie zdoła ich pojąć... Im zaś obficiej karmić się będzie tym, co w Piśmie św. zaprawia do

uległości w wierze, tym wyżej wzniesie się na szczyty, gdzie rozum bywa nasycony".

Rozum, wedle Anzelma, gra rolę pierwszorzędną w szukaniu prawdy, jako narzędzie do wzniesienia duszy na wyżyny dogmatu, i rozumowi zapewnił on pierwszeństwo nad zwodniczą wyobraźnią, wiodącą na manowce błędu. Wykazuje też Anzelm dobitnie, że nie może być istotnej sprzeczności między wiarą, a rozumem. Bóg jako sama Prawda i Stwórca wszystkiego, jednoczy w sobie wszystko w najwyższej harmonii.

Genialnym swym rozumowaniem przygotował Anzelm grunt pod odradzającą się w średniowieczu filozofię chrześcijańską.

Jak styl romański zawierał w sobie zapowiedź gotyku, tak nauka Anzelma doprowadziła do wspaniałej rozbudowy scholastyki XIII w., a punktem jej szczytowym stanie się wiekopomna Summa jego współrodaka — św. Tomasza z Akwinu.

Anzelm był poprzednikiem i przygotowawcą tego rozkwitu, słusznie więc należy mu się miano ojca scholastyki średniowiecznej.

Zasadnicze punkty i tezy swego wykładu podaje Anzelm w tzw. *Monologu,* który jest traktatem o istocie i doskonałościach Boskich i w drugim dziele zatytułowanym: *O wierze w Trójcę Św. i we Wcielenie Słowa.* W silnych wyrazach piętnuje tu autor heretyków współczesnych, jak Roscelina z Compiègne, głośnego współczesnego racjonalisty.

Metoda dzieł uczonego opata jest przeważnie wykładowa i pozytywna; rzadko tylko i z konieczności używa on miecza apologii i godzi nim w błędy, nigdy wszakże nie tykając osób.

Prolog jest jakoby rozmową duszy poszukującej prawdy ze swoim Bogiem. Formuła w nim wyrażona: „Fides praecedit intellectum“[1]), stanie się hasłem późniejszej scholastyki. W tym utworze mistrz wznosi się na skrzydłach kontemplacji, by z kolei zanurzyć się w głębokim rozważaniu prawd najwyższych; to znów w formie sokratesowego dialogu, użytego po mistrzowsku, prowadzi swych uczniów po stromych ścieżkach dogmatycznych wywodów i filozoficznego argumentowania.

W traktatach *O Prawdzie, O Wolnej woli, O Upadku szatana, Dlaczego Bóg stał się człowiekiem,* (*Cur Deus Homo?*) i wielu innych, wyjaśnia Anzelm podstawowe dogmaty wiary i pozwala nam uobecnić sobie mistrza, żywo i przekonywująco przemawiającego do swych słuchaczy. Zaprawiał ich umysły do ścisłej analizy i z powrotem naprowadzał do syntetycznego ujęcia „jednym rzutem oka“ całości przedmiotu.

W poznawaniu prawd wiary miał Anzelm na celu większą miłość Bożą. Filozofia jego czerpała swą moc z modlitwy: „Panie, daj mi zakosztować przez miłość tego, co poznałem przez rozum“, mówi Święty w swych *Medytacjach.* Nie tracił nigdy z oczu szczęścia wiekuistego, „do

---

1) „Wiara poprzedza rozumienie“.

którego wnijdą błogosławieni, a będą oni radować się o tyle, o ile umiłują, a umiłują w miarę poznania".

Przy oglądaniu Bożych tajemnic wzrasta miłość, tak i dusza Świętego rozpalała się od bliskości Bożego ogniska.

***

Umartwione i surowe życie ascetycznego mnicha i poważna jego praca naukowa nie wyziębiły w Anzelmie ludzkiego serca. Nikt nie umiał czulej i serdeczniej okazać się wiernym i kochającym przyjacielem, niż ów zakapturzony zakonnik, kroczący w skupieniu wzdłuż cichych krużganków rozległego opactwa.

Przeszło 450 listów pozostałych po nim, jako cenna spuścizna, świadczy o mnogich i serdecznych węzłach, jakie go łączyły. Objawia się w nich już nie mędrzec szukający rozwiązania zawikłanych problemów, lecz człowiek z krwi i kości, o ludzkim, kochającym, współczującym z bliźnimi sercu.

Bogaty jest zbiór listów zwróconych do Lanfranca, ówczesnego arcybiskupa z Kanterbury; przebija w nich uczucie wdzięczności i szacunku dla dawnego mistrza; inne skierowane są do współbraci rozproszonych po różnych odległych opactwach, do uczniów zwracających się w zaufaniu do ukochanego nauczyciela i wychowawcy, do zakonników, osób świeckich wszelkiego stanu, do krewnych i obcych. Przechowała się też obfita korespondencja Anzelma z Matyldą królową

angielską i Matyldą, księżniczką toskańską. Obu tym niewiastom posyłał wskazówki i rady, tyczące się życia duchownego. Stosunki Anzelma sięgały, jak widać, daleko poza klauzurę klasztorną.

Do bliskiego przyjaciela lat młodzieńczych, późniejszego biskupa Rochester w Anglii, zwanego jak ojciec Anzelma, Gondulfem, tak pisał Święty: „Dusza moja zawsze jest z tobą; ty milczysz, wiem, że mnie kochasz; ja milczę, ty wiesz, że ciebie kocham. Jesteś pewny, że ja nie wątpię o tobie, a tobie oddaję świadectwo, że ty pewnym mnie jesteś".

W tych słowach Anzelm uwydatnił, na czym zasadza się istota przyjaźni: treścią jej — wzajemne zaufanie.

Anzelm nazywa Gondulfa „drugą własną duszą", — tym, który pierwsze miejsce w jego sercu wśród przyjaciół zajmuje. „Nie myśl", pisze gdzie indziej, „by ten, który jest zdala od oczu był dla mnie i zdala od serca... Zajrzyj w głąb twego serca i zobacz, ile tam się ukrywa serdeczności dla mnie; wówczas zrozumiesz, jakim jest moje przywiązanie do ciebie". Przyjaźń ta wszakże była czysto nadprzyrodzona, na Bogu jedynie oparta, bez wyłączności, ni ciasnoty, a zmierzała do uświęcenia obu kochających się dusz.

***

Postać św. Anzelma olbrzymieje w oczach naszych, gdy oglądamy ją z punktu widzenia epoki i społeczeństwa XI w. i zmagań się jego z prą-

dami chwili. Zadanie wielkiego opata było szerokie i wszechstronne; obejmowało nie tylko dziedzinę wiedzy, nauki, życia zakonnego; ów pokorny mnich benedyktyński miał być nadto obrońcą wiary i moralności, swobody i niezależności Kościoła od władzy świeckiej. Był on nie tylko gorliwym i uczonym zakonnikiem, umysłem kontemplacyjnym i spekulatywnym, lecz mężem czynu, wielkim apostołem. Z zacisza klasztornego wyrwał go Pan, by go postawić na bojowej drodze, na której stykać się musiał z wielkimi tego świata i niejednokrotnie mężnie stawiać im czoło w uciążliwej walce o prawa Boże i Kościelne.

Opactwo le Bec posiadało w Anglii kilka podległych sobie klasztorów i majętności, które Anzelm musiał kilkakrotnie odwiedzić w ciągu swego urzędowania. Został też zawezwany do tego kraju dla założenia nowego opactwa w Chester, na ziemiach należących do potężnego magnata Hugona, przezwanego Wilkiem. Był to książę wojowniczy, lubiący zbytki, hulanki, polowania i zabawy. Dawny towarzysz młodości i nauk Anzelma w Avranches, Hugo wspomniał o nim królowi angielskiemu, Wilhelmowi Rudemu, a gdy po śmierci Lanfranca stolica arcybiskupia w Kanterbury zawakowało i przez cztery lata była osierocona, przedstawił Anzelma jako najodpowiedniejszego na to stanowisko.

Kościół w Anglii jęczał w tym czasie pod rządami Wilhelma II Rudego, despotycznego monarchy. Ojciec jego, Wilhelm I Zdobywca, choć

okazał się gorliwym w usuwaniu niektórych nadużyć, a zwłaszcza szerzącej się symonii, używał jednak przywilejów groźnych dla wolności Kościoła. Uzurpował sobie szereg praw, jak zatwierdzania wyboru papieża, cenzury listów papieskich do episkopatu angielskiego, kontroli dekretów synodów krajowych itd. Umarł wszakże w uczuciach głębokiej wiary i skruchy, przygotowany na śmierć przez Anzelma, którego wpływ na króla był tak wybitny, że, jak piszą współcześ ni, król, w obecności Świętego, zdawał się być innym człowiekiem.

Inaczej wszakże zarysował się stosunek Anzelma do jego następcy, Wilhelma Rudego. Trudno bowiem spotkać na tronie królewskim postać bardziej nieokrzesaną; duma i niepohamowana gwałtowność uczyniły zeń despotę i gbura, tak że nawet słodki i łagodny opat z le Bec nazwał tyrana „niepokonanym bykiem".

Na prośby duchowieństwa i możnych panów, nakłaniających króla, by zechciał obsadzić opustoszały tron prymasowski, Wilhelm srożył się i miotał, zaklinał i krzyczał, że sam będzie prymasem. Nieobecność bowiem pasterza dawała mu możność łupienia posiadłości kościelnych na własną korzyść.

Wśród tych okoliczności król zapadł na ciężką chorobę. Otaczający go biskupi, opaci i rycerze, widząc grożące niebezpieczeństwo, zachęcali monarchę do skruchy i zadośćuczynienia za winy. Sprowadzony do łoża chorego Anzelm, począł namawiać króla do spowiedzi i zażądał od

niego obietnicy, że naprawi zło wyrządzone Kościołowi w Anglii. Pod grozą śmierci król zgodził się na wszystko i podpisał dekret, zapewniający narodowi sprawiedliwe rządy i naprawienie krzywd.

Korzystając z tego momentu obecni próbują wymóc na królu naznaczenie godnego pasterza na arcybiskupstwo kantuaryjskie. I, o dziwo! Wilhelm uznaje konieczność tej nominacji i z ust jego pada imię Anzelma, jako wskazanego na to stanowisko.

Rozgrywa się wówczas scena, jedyna w swoim rodzaju, malująca ludzi i epokę, a szczegółowo opisana przez Eadmera. Drżącego i tonącego we łzach opata prałaci przywlekają siłą do łoża umierającego króla wśród nawoływań, okrzyków i nieopisanego zgiełku. Nic nie pomagają błagania i prośby nieszczęsnego mnicha, który woła, że jest zbyt stary, spracowany, niezdolny do przyjęcia na barki tak wielkiego ciężaru. Wtem na głos królewski wszyscy padają na kolana przed Anzelmem, lecz i on klęka, i przed naporem nie ustępuje. Wreszcie zwraca się o pomoc do towarzyszących mu braci, lecz ci odpowiadają chórem: „Jeśli taką jest Wola Boża, czyż możemy się jej sprzeciwiać?"

W tym momencie rozlega się donośne wołanie: „Dajcie pastorał! dajcie pastorał!" i chwytają mnicha za prawą rękę, popychają go ku łożu umierającego króla, by ten mógł włożyć oznakę w dłoń wybrańca na znak nominacji. Anzelm wszakże zaciska pięść z całej siły, lecz biskupi

przemocą rozwierają mu palce i wciskają laskę. Przy okrzykach: „Niech żyje biskup!“ wnoszą go na rękach do przepełnionego tłumem kościoła. Na nic się nie zdały protesty i łkania rozpierające piersi Anzelma! Brzmi rozgłośne i uroczyste „Te Deum“. Biskup wybrany.

Anzelm zapowiedział królowi, że z tej choroby nie umrze, ale wybór swój uważa za nieprawny i po wyzdrowieniu królewskim musi być unieważniony, a zwracając się do otaczających go biskupów, dodał: „Wiecie coście zrobili? — zaprzęgliście rozjuszonego byka do jednego jarzma ze starą i słabą owcą! I cóż się teraz stanie? Ów byk szalony zawlecze owcę w ciernie i głogi, rozszarpie ją bez pożytku dla niej, ani dla nikogo!“

Odtąd rozpoczyna się bój życiowy mnicha, wyniesionego na pierwsze stanowisko Kościoła w Anglii.

Mimo bólu opuszczonych zakonników w opactwie le Bec, Anzelm, za dyspensą biskupa z Rouen, od którego ono zależało, rozpoczyna swe rządy.

Krótkotrwałymi okazały się postanowienia Wilhelma. Despota, powróciwszy do zdrowia, zaprzysiągł zemstę za rzekomą krzywdę mu wyrządzoną, przez wydarcie mu dóbr prymasowskich, z których ciągnął bezprawne zyski.

Nowy arcybiskup wszakże nieugięcie domagał się wypełnienia obietnic: zwrotu przywłaszczonych posiadłości, zatwierdzenia niezależności władzy biskupów od króla w sprawach duchow-

nych, oficjalnego uznania wyboru papieża Urbana II, dokonanego po śmierci Grzegorza VII, Hildebranda. Wilhelm pozornie zgadzał się na wszystko, stopniowo jednak usiłował się uchylać od danych obietnic. Anzelm zaś ustępował, o ile tylko dozwalało mu na to sumienie. Przyjął od monarchy inwestyturę na dobra ziemskie, przywiązane do biskupstwa, co wówczas było jeszcze dozwolone. Natomiast uważał się za niezależnego w sprawach kościelnych, bowiem stosownie do rozporządzeń Grzegorza VII, godność i jurysdykcja biskupów były wyjęte spod władzy panujących.

Smutny był stan ówczesny Kościoła w Anglii. Świątynie i klasztory zaniedbane po długoletnich wojnach leżały w gruzach. Obyczaje duchowieństwa przedstawiały się opłakanie. Ciemnota i nędza powszechną była wśród kleru. Należało wszystko budować od podstaw, materialnie i duchowo. Sam charakter króla nie dawał rękojmi długotrwałego pokoju. Zanosiło się na gwałtowną burzę.

I oto ten, który z lękiem i trwogą odrzucał ofiarowaną mu godność, teraz odważnie i nieustraszenie walczyć będzie o prawa należne Kościołowi i o wolność jego. A walka ta rozpoczęła się bezzwłocznie.

Gdy prymas, jako wasal, przysłał królowi należną mu daninę, Wilhelm chciwy na stracone włości, a sam potrzebując pieniędzy na prowadzenie wojny ze swym bratem Robertem, księciem Normandii, odesłał z pogardą ofiarowaną mu su-

mę, jako zbyt niską na jego wymagania. Gdy biskup osobiście udał się do Wilhelma, przypominając mu wypełnienie jego obietnic i usunięcie nadużyć, tyran grubiańskimi słowy odegnał pokornego biskupa od siebie.

Radzono Prymasowi złożyć monarsze większą sumę ze swych dochodów, by tym zjednać sobie despotę, lecz Anzelm ze wstrętem odrzucił tę podłą propozycję i objaśnił, że pieniądze nie przyjęte przez króla już zostały rozdane ubogim. Za żadną cenę nie chciał okupić łaski panującego, zwłaszcza w epoce szerzenia się symonii i zgubnego przekupstwa. Nienawiść Wilhelma do świętego Prymasa wzrastała z dniem każdym. Trudności piętrzyły się codzień sroższe.

Skoro Anzelm zażądał od króla listu żelaznego na podróż do Rzymu, dla otrzymania według zwyczaju paliusza, oznakę swej godności, z rąk Urbana II — Wilhelm stanowczo temu się sprzeciwił: „Pamiętaj, rzekł do Prymasa — że nie możesz mi być wiernym, słuchając Stolicy Apostolskiej wbrew mej woli!"

W tym odezwaniu się monarchy widzimy kiełkującą już dążność do uniezależnienia państwa od Kościoła Rzymskiego. Swym wrogim stanowiskiem wobec Stolicy św. i tendencją separatystyczną, Wilhelm przygotował grunt dla Henryka II Plantageneta, a zwłaszcza dla Henryka VIII Tudora. Jedynie nieugiętość świętego pasterza uchroniła wówczas Anglię od grożącej jej schizmy.

Na słynnym zebraniu w Rockingham, sąd uroczysty, złożony z biskupów i najznakomitszych w państwie baronów, miał rozstrzygnąć spór króla z prymasem Anglii. Ten ostatni nie dał się niczym nakłonić do niegodnych ustępstw i służalstwa w stosunku do władzy świeckiej. Gdy nacierano na niego ze wszech stron, by zmusić go do uległości, oznajmił: „Gotów jestem oddać co cesarskiego cesarzowi, a co Bożego, Bogu. We wszystkim co się Bogu należy, słuchać będę Następcy Piotra, a w sprawach doczesnych służyć zamierzam wiernie wedle możności Panu memu i Królowi".

Wówczas stała się rzecz niespodziewana: wszyscy zebrani biskupi, prócz wiernego przyjaciela anzelmowego, Gondulfa, biskupa Rochester, stanęli po stronie króla przeciw swemu zwierzchnikowi; jedni powodowani służalczością i względami na własną karierę, inni wskutek chwiejności, lub też z braku zrozumienia sytuacji. Możni natomiast rycerze i baronowie, przywiązani do swego pasterza, widząc w gwałtach królewskich niebezpieczeństwo dla siebie, jako że prymas był równocześnie lennikiem królewskim, zwycięstwo więc panującego nad pierwszym swym wasalem uczyniłoby go bezapelacyjnym panem i sędzią w kraju, — sprzeciwili się jawnie królowi.

By wreszcie ochronić arcybiskupa od wyroku wygnania, który zdawał się nieunikniony, wysunęli projekt kilkomiesięcznego rozejmu.

Wilhelm, licząc się z opinią kontynentu, na którym Anzelm cieszył się sławą uczoności i cno-

ty, przyjął na razie pokojowe warunki. Chwilowe zawieszenie sporu umożliwiło Urbanowi II wysłanie paliusza dla prymasa przez swego legata, który wszakże uprzedzony do arcybiskupa przez wysłanników króla, po wylądowaniu na wyspę, rozpoczął dwulicową politykę: uzyskał od Wilhelma zatwierdzenie wyboru Urbana II, Anzelma wszakże nie wziął w swą obronę.

Gdy jednak Wilhelm chciał pozyskać sobie posła i równocześnie zażądał od niego złożenia biskupa z urzędu, legat oparł się temu stanowczo. Mimo nalegań podłych dworaków, nakłaniających Anzelma do zjednania sobie króla przez dary pieniężne, lub przyjęcie paliusza z ręki samego monarchy, Anzelm nie dał się skusić na żadne haniebne ustępstwa, mogące zaznaczyć wyższość władzy doczesnej nad duchowną. Paliusz przychodził mu z rąk Zastępcy Chrystusa, od Boga jedynie miał go otrzymać. Wreszcie doprowadził do tego, że paliusz został złożony na ołtarzu w katedrze w Kanterbury, skąd boso, przybrany w pontyfikalne szaty, ujął go własnymi rękoma i nałożył na siebie, jakoby go otrzymał z ręki Najwyższego.

W parę miesięcy po tych wypadkach niezwykły zapał ogarnął rycerzy i szlachtę Europy do podjęcia pierwszej krucjaty, ogłoszonej przez Urbana II na słynnym synodzie w Clermont Ferrand 1095 r. Anzelm wysłał na ów synod mnicha Bosona, jako swego przedstawiciela. Wśród innych udzielnych władców Robert książę Normandii, brat Wilhelma Rudego, chwyciwszy za krzyż dał

się porwać ogólnemu prądowi. Skorzystał z tego Wilhelm i wykupił od brata za wysoką cenę księstwo Normandii. By zebrać jednak potrzebną na to sumę, rozpoczął na nowo łupić kościoły i opactwa swego królestwa. Zaczęły się znów gwałty i niepokoje w kraju: klasztory pustoszały, wśród szlachty, ludu, a nawet i duchowieństwa, zapanowało gorsze jeszcze rozprzężenie obyczajów i upadek karności kościelnej. Mimo usilnych starań podjętych dla usunięcia nadużyć i podniesienia stanu moralnego w swej diecezji, mimo listów i napomnień zwróconych do króla i wiernych, Anzelm nie zdołał wówczas opanować zła, które przybierało zastraszające rozmiary.

Widząc potrzebę radykalnych reform, uważał za konieczną podróż do Rzymu, by móc zdać sprawę papieżowi z niezwykle ciężkiego położenia Kościoła w Anglii, ze swojej działalności i prac na jego terenie, a także ze stanu swej duszy.

Mimo uporczywego protestu hardego monarchy, który ponownie odmówił pozwolenia na wyjazd, mimo też oporu służalczych biskupów, Anzelm z niezłomną stanowczością oznajmił królowi swe postanowienie udania się do stolicy chrześcijaństwa. Na tę wieść Wilhelm nie zawahał się zagrozić prymasowi, że dobra jego zostaną skonfiskowane, nieustraszony wszakże pasterz stale odpowiadał, że nikt nie ma prawa zabronić mu złożenia hołdu Ojcu św. i gwałcić wolności jego osobistej.

Wilhelm chciał siłą zmusić biskupa do przysięgi, że nigdy nie odwoła się do Stolicy Apostolskiej, w przeciwnym razie miał prymas opuścić natychmiast granice monarchii. Anzelm odrzekł z godnością, że taka przysięga byłaby zaparciem się Namiestnika Chrystusowego, więc samego Chrystusa, a od takiego przeniewierstwa nawet sąd królewski nie mógłby go uniewinnić. Udzieliwszy wreszcie królowi ostatniego błogosławieństwa, które upokorzony monarcha przyjął ze spuszczoną głową, biskup oddalił się z granic państwa, by rozpocząć swe życie tułacze.

***

Podróż Anzelma przez Francję była jednym wspaniałym pochodem triumfalnym. Na widok świętego biskupa, dobrowolnego wygnańca, męczennika za sprawę Boga i Kościoła, niebywały zapał ogarniał tłumy. We wszystkich miastach lud wylegał na jego spotkanie, duchowieństwo, bractwa ze sztandarami i muzyką, zakonnicy przyjmowali go w procesji. Na każdym kroku samorzutne owacje spotykały skromnego mnicha, obecnie prymasa Anglii, sławnego w całej Europie i zdawały się mu wynagradzać przebyte cierpienia.

Urban II przyjął Świętego z otwartymi rękoma, ugościł w pałacu Lateraneńskim i na uroczystej audiencji obiecał go wspierać i ratować sprawę Kościoła w Anglii. Stanowczo wszakże oparł się prośbie Anzelma, błagającego o zwolnienie go z uciążliwego urzędu i zaprosił pry-

masa na synod w Bari, na którym zebrani greccy wysłańcy usiłowali uzasadnić swą błędną naukę o Trójcy Św., mianowicie o pochodzeniu Ducha Św. tylko od Ojca, a nie od Syna Bożego.

Anzelm wezwany przez Papieża dał im niezrównaną odprawę. Po jasnej i silnej przemowie teologa, Urban II zawołał: „Błogosławione niech będą twe usta i słowa z tych ust płynące", po czym zagroził klątwą tym, coby się ważyli odrzucić wyłożoną doktrynę, będącą nauką samego Kościoła.

Nadużycia i wybryki Wilhelma Rudego zostały również napiętnowane na owym synodzie; wszakże gdy papież chciał rzucić klątwę na króla, na którego padały ważkie oskarżenia z ust obecnych, prymas błagał Ojca św. na kolanach, by zawiesił ten wyrok, co wywołało niemały zachwyt i powszechne zbudowanie.

Uchwały synodu w Bari, zatwierdzone następnie na synodzie w Rzymie 1099 r., miały położyć kres symonii, uwolnić Kościół od gnębiącego ucisku panujących, przywrócić karność wśród kleru, podnieść stan moralny duchownych jak i świeckich. Zakazano też duchowieństwu przyjmować inwestyturę od władców świeckich, co przyczyniało się do wielu nadużyć. W ten sposób życie wewnętrzne Kościoła nabrało nowego, wyższego rozpędu.

Po śmierci Urbana II nastał Paschalis II, również mnich kluniacki, jak i jego dwaj znakomici poprzednicy. Gdy i jemu nie chciał się poddać buntowniczy Wilhelm Rudy, nadal uciskał Kościół i wyzyskiwał swych poddanych,

spotkała go widoczna kara Boża: zginął na polowaniu „jak dzik rozjuszony", przebity strzałą w samo serce.

Anzelm bawił właśnie w Lionie, gdy doszła go ta wiadomość. Zapłakał nad zgonem monarchy, a wezwany listami następcy jego i brata Henryka Beauclerc, jak również biskupów i baronów angielskich, uwiadomiwszy papieża o zaszłych wypadkach, pośpieszył z powrotem do Anglii, gdzie przyjęto go z entuzjastyczną radością. Skończyło się wygnanie i tułaczka pasterza i rozpoczynała się nowa era w jego życiu.

Stosunek prymasa do Henryka układał się na razie pokojowo, choć na samym wstępie Anzelm odmówił przyjęcia inwestytury z rąk królewskich i złożenia mu wiernopoddańczego hołdu, wedle rozporządzeń synodu rzymskiego. Henryk nie odważył się wówczas zaprotestować.

Prymas pobłogosławił związek Henryka z Matyldą ks. szkocką, zwaną przez naród „dobrą królową Matyldą"; była ona córką duchowną św. Anzelma i nazywała go „ojcem swej duszy". Uśmierzył też bunt pewnej garstki możnowładców, chcących wezwać na tron starszego brata królewskiego Roberta, który był już powrócił z krucjaty. Pasterz przypomniał im ważność złożonej przysięgi na wierność i doprowadził do zgody między braćmi królewskimi. Powaga jego w kraju była tak wielką, że chcąc nie chcąc miał on wpływ na losy królestwa i rola pośrednika pokoju, którą odgrywał, uratowała Anglię od ponownych domowych niesnasek.

Uległość Henryka Beauclerc względem arcybiskupa była wszakże tylko pozorna. Nie stawiał on wprawdzie jawnej i brutalnej opozycji, lecz walka z nim rozgrywała się w sposób ukryty i nieuchwytny, za pomocą podstępów, intryg i wykrętów. Wreszcie doszło do otwartego nawet buntu.

Król nie chciał zastosować się do rozporządzeń Stolicy św., nadal rozdawał inwestytury, twierdząc, że nie zamierza znosić niezależnych władców w swoim państwie. I znów powtarza się smutne, poprzednie zjawisko: biskupi stają po stronie zbuntowanego monarchy, Anzelm sam trwa obronnie na swym stanowisku, mając jedynie przy boku wiernego bisk. Gondulfa z Rochester.

Idzie do Rzymu poselstwo za poselstwem, niestety, wysłańcy Henryka przeinaczają rozkazy papieskie; konflikt się nie wyjaśnia, lecz gmatwa i zaciemnia coraz bardziej.

Na zebraniu parlamentu w Londynie, Henryk postawił prymasowi swe ostateczne „ultimatum“: albo prymas usłucha króla i podda mu się bez zastrzeżeń, albo też opuści królestwo, a Anglia usunie się od posłuszeństwa Stolicy św.

Po wielu daremnych pertraktacjach, król wysunął wreszcie propozycję, by prymas wyruszył do Rzymu i sam załatwił sprawę z papieżem. Anzelm wówczas zrozumiał wyraźnie ukryty pod tym projektem podstęp: był to tajny wyrok banicji. Powtórnie dostojnik ma udać się na wygnanie. Oznajmia więc wobec zebranych, że,

gdy stanie przed papieżem, działać będzie jedynie na korzyść Kościoła i swej biskupiej godności.

Znaleźli się podówczas w obliczu papieża dwaj posłowie: Anzelm, arcyb. Kanterbury i wysłannik królewski Wilhelm Warlewast, jeden — obrońca niezależnej władzy Kościoła, drugi — walczący o ingerencję władzy świeckiej w sprawy duchowne.

Paschalis II, wobec zuchwałego stanowiska posła królewskiego, rzucił klątwę na biskupów przyjmujących inwestyturę wbrew zarządzeniom synodu rzymskiego i zagroził nią samemu monarsze. Anzelm, otrzymawszy od papieża bullę, zatwierdzającą prymasowskie prawa, a od króla zawiadomienie, by nie ważył się wracać do kraju, zamieszkał chwilowo w Lionie, u gościnnego biskupa Hugona i za pomocą listów kierował odległą diecezją. Napomina jednych, zachęca drugich, czuwa nad karnością podległych sobie klasztorów, wzywa do cierpliwości i do wytrwania, nie traci nadziei, podtrzymuje siebie i innych na duchu.

Gdy wreszcie Henryk Beauclerc wymógł na papieżu pewne nieznaczne i chwilowe ustępstwa, zrezygnował z rozdawania duchownym inwestytury, z podatków nakładanych na kler i dochodów z wakujących biskupstw. W pokornych i uległych listach zadośćuczynił papieskim żądaniom.

Nastąpiło pojednawcze spotkanie Anzelma z królem w opactwie le Bec, w którym prymas

wówczas przebywał, oczekując rozwiązania sporu. Na dzień Wniebowstąpienia 1106 r. zjechał tam także Henryk i zgoda została uroczyście zawarta.

Zwycięski prymas Anglii mógł już bezpiecznie wracać do swej stolicy, radośnie przyjmowany przez lud, duchowieństwo i możnych. Najszczęśliwszą czuła się królowa Matylda i z uniesieniem radości weseliła się z powrotu „ojca do swej córki, mistrza do służebnicy, pasterza do owieczki", jak to wyraża w liście powitalnym do arcypasterza.

Nowy synod w Londynie 1107 r. ostatecznie ogłosił rozporządzenia papieskie zebranemu ludowi. Skończyło się wreszcie prześladowanie Kościoła w Anglii i nastały czasy pokoju i rozkwitu. Między Anzelmem a królem zapanowała zgoda i pełne porozumienie, do tego stopnia, że, pod nieobecność Henryka, prymas sprawował rządy w państwie.

***

Powoli zbliżał się koniec życia dzielnego szermierza w sprawie Boga i Kościoła. Trudy ciężkiego pasterzowania, nadmierna praca i bolesna tułaczka zużyły siły nieustraszonego biskupa. Zdrowie jego było podkopane, ciężar lat i trudów osłabił jego sprężystość, mimo że „duch zawsze ochotny" rwał się wciąż do nowego działania.

Gdy odprawianie mszy św. stało się już dlań niemożliwe, kazał się zanosić do kościoła i brał żarliwy udział w Najśw. Ofierze. W Wielką Śro-

dę, o świcie, gdy mnisi w chórze odmawiali Laudesy, kilku z nich otoczyło łoże umierającego starca. Wśród czytania Męki Pańskiej rozpoczęło się ciche konanie. Wówczas zwyczajem benedyktyńskim złożono świętego na ziemi i na popiele; w tym unicestwieniu oddał ducha Bogu 21 kwietnia 1109 r., w chwili, gdy odczytywano słowa Pisma św.: „Wy jesteście, którzyście wytrwali przy Mnie w pokusach moich" (Łuk. XXII, 28).

Po długim życiu, spędzonym wśród nieustannych bojów, Anzelm umarł jako triumfator. Na łożu śmierci mógł śmiało powtórzyć za św. Pawłem: „Potykaniem dobrym potykałem się, zawodu dokonałem, wiarę zachowałem" (List do Tym. IV, 7).

Skutki gigantycznych zapasów wielkiego prymasa z przemocą niegodnych władców były olbrzymie dla Anglii: usunął on bowiem w wielkiej mierze nadużycia, tak rozpowszechnione w tym czasie, podniósł stan moralny powierzonej sobie owczarni, zabezpieczył wolność Kościoła przed uciskiem panujących, utrzymał jedność wiary, zażegnał na kilka wieków grożącą Anglii schizmę.

Niezrównana dobroć i słodycz arcyb. z Kanterbury kojarzą się u niego z siłą i nieugiętością; pokora, którą nazywa on w swych pismach „gruntem sprzyjającym rozwojowi cnót wszelkich", łączy się ze świadomością wysokiego posłannictwa, zwierzonego mu przez Boga; umartwienie i surowość życia z dbałością o zachowanie dóbr Kościołowi należnych; prostota w ob-

cowaniu z maluczkimi i współbraćmi — z dostojnością i nakazującą szacunek powagą.

„Ukrzyżowany dla świata i pożądliwości jego“ — jak pisze o świętym biograf jego Jan z Salisbury — „myślami wznosił się do rzeczy niebieskich i czynił jedynie to, co miało na celu życie wieczne“.

Każdą chwilą swego istnienia dawał on wzór cierpliwości, posuniętej do ostatecznych granic. „Nie znając zamiarów Bożych nad sobą“ — pisze w swych listach — „przyjmuję wszelkie ciosy spadające na mnie z ręki Najwyższego“. Wygnany, obrzucony oszczerstwami i prześladowany, umiał zawsze zachować niezmącony pokój i siłę ducha, a tym zwyciężał swych wrogów, aż w końcu doprowadził ich do upokorzenia się i uznania swych błędów.

Ten wielki i nieustraszony bojownik Boży, umiał się zarazem zagłębiać w najwyższe dogmaty wiary. Życie kontemplatywne i czynne jednoczą się u niego, tworząc jednobrzmiącą i bogatą w tony harmonię. Wnikliwość mistyczna i psychologiczna nie zaciera w nim zmysłu na rzeczywistość życia. Przedziwna równowaga władz, kierowana światłem Ducha św. przyczynia się do wzrostu jego wpływu i przynosi obfite żniwo apostolskiej pracy.

Dusza tego wielkiego męża, ściśle złączona ze swym Bogiem, ujawniała na zewnątrz tajone swe głębie w gorących, tryskających życiem i miłością modlitwach, których bogaty zbiór został wydany w osobnej książce.

Surowość jego obyczajów i teoretyczna spekulacja filozoficzna nie wysuszyły w nim źródła Bożej miłości. Sława nie stępiła w nim pokory, wzniosłość jego rozumowań i argumentacyj nie przyniosła ujmy głębokiej prostocie jego duszy. Do końca pozostał szczerym i uprzejmym w obcowaniu, serdecznym i naturalnym w pożyciu z drugimi.

W dziedzinie wiedzy teologicznej nie dorównywał on wprawdzie wielkiemu Tomaszowi z Akwinu, ale przez śmiałość swych badań i wywodów, przez głębokie i wszechstronne ujęcie kwestyj, przez jasność i wyrazistość pojęć wzniósł się na wyżyny dotąd nie osiągnięte i rzucił nasienie, którego owoc zebrały wieki następne. Jest on genialnym odnowicielem i przodownikiem w naukach teologicznych początkującego średniowiecza, a zarazem poprzednikiem „Anioła Szkoły" XIII wieku.

Anzelm z Kanterbury jest uosobieniem najwyższych i najszlachetniejszych dążeń swej epoki: jako mnich benedyktyński jest wcieleniem ducha swego zakonu i dochodzi do wysokiej kontemplacji; jako teolog, umysłem niepowszednim i genialnym wybija się na stanowisko czołowe; jako biskup jest wzorem troskliwego pasterza, gotowego oddać duszę za owce swoje, w obronie przed grożącym wrogiem; jako człowiek osiąga szczyty najwyższej na tej ziemi świętości, przez zrealizowanie heroicznych cnót.

Nie dziw więc, że w epoce rozkwitu średniowiecza został przez uczonych ówczesnych obdarzony zaszczytnym mianem:

DOCTOR MAGNIFICUS.

S. M. Leonia, niepokalanka

MYŚL LITURGICZNA

POEMAT O MSZY ŚW.

(„La Messe là-bas").

Jeden z największych współczesnych poetów Francji, to Paweł Claudel (ur. 1868 r.), niegdyś niedowiarek, jak całe pokolenie wyrosłe na Renanie, dziś prawowierny katolik, chorąży wiary na francuskim Parnasie.

W 1917 roku był on ambasadorem w Brazylii, podczas Wielkiej Wojny. Czuł się dziwnie samotnym w tym otoczeniu ludzi innej rasy, innego światopoglądu, nie umiejących odczuć psychiki Francuza-patrioty, zabłąkanego na drugiej półkuli i śledzącego z gorączkowym natężeniem przebieg strasznego zmagania, w którym krwawiła się jego ojczyzna.

Dziesięć lat przedtem pisał Claudel do przyjaciela Jacques Rivière, że nie czuje się na siłach mówić o Mszy św. Teraz chwycił pewną ręką za ten temat i napisał w przeciągu ośmiu miesięcy poemat pt. *„Msza święta — tam"*.

Jest to zbiór wierszy, z których każdy odnosi się do innej części Najśw. Ofiary; poeta modli się w łączności z Kościołem, przeplatając święte obrzędy refleksjami, które mu nasunęło własne życie i doświadczenie.

Pierwsza część nosi tytuł *Introit*. Dusza chrześcijańska budzi się rano i zanim weźmie udział w bezkrwawej Ofierze, skupia się w obecności Boga, jedynej obecności nieprzemijającej i stałej. Wszystko, co było i co jest — zanim wkrótce też przejdzie do przeszłości — mówi nam o Tym, co jeden nigdy być nie przestanie. I poeta tak się pociesza na swym brazylijskim wygnaniu. :

„Szkoda że one (piękności otaczające nas) nie mogą
[zejść nam z oczu, nie raniąc serca,
A piękne są, bo odbijają jedyną Piękność praw-
[dziwą : mówią nam o Bogu".

Trzeba być ogołoconym ze wszystkiego, aby wejść „w radę Miłości" — i to jest właśnie to „wejście", które symbolizuje Introit; to jest jego głębokie wewnętrzne znaczenie.

Teraz idzie potrójne wołanie, błagalne i triumfalne zarazem: *Kyrie eleison*. Po nim *Gloria*, śpiew stworzenia na cześć Stwórcy, w którym poeta wielbi Trójcę Przenajświętszą: Ojca Wszechmogącego, Baranka Bożego, Syna Ojca i Ducha Pocieszyciela, równego im w chwale.

Po „Gloria" następują *czytania*, tj. Lekcja i Ewangelia, głoszące nam na progu Najśw. Ofiary prawdę Bożą zawartą w Objawieniu. Clau-

del stwierdza, że gdziekolwiek Msza św. się odprawia:

„Czy w paryskiej Notre-Dame, w mroźny zimowy
[poranek,
„Gdy św. Genowefa (patronka Paryża) błogosławi
[budzące się miasto,
„Czy w brudnej ulicy Bostonu, czy w przeludnio-
[nych Chinach,
„Czy w czeskiej Pradze, w roześmianym kościele
[rokokowym,
„Pełnym Aniołków złoconych, fruwających jak sta-
[do gołębi,
„Lub w Frankfurcie zaśnieżonym, albo w zadesz-
[czonym Hamburgu...[1])
„Zawsze znajdzie się na ołtarzu księga, zawierają-
[ca wszystkie tajemnice życia i śmierci.
„By się wszystkiego dowiedzieć, by wszystko wy-
[jaśnić, wystarcza
„Otworzyć w miejscu poprzednio naznaczonym i
[przybliżyć świecę..."

Tą księgą rozświecającą tajemnice życia i śmierci, to mszał: wszędzie ten sam, dokąd tylko sięga Kościół rzymsko-katolicki. Nie ma więc kraju, do którego by nie dotarła dobra nowina; wszędzie ją poeta słyszał, w niezmiennym brzmieniu, głoszoną pod wszystkimi szerokościami i długościami geograficznymi, dokąd go zagnał los i służba dyplomatyczna.

Po Ewangelii — *Credo*; 30 lat minęło od chwili, w której Claudel przylgnął doń całą potęgą duszy; w prześlicznych strofach streszcza

---

1) We wszystkich miejscowościach tu wymienionych Claudel był kolejno bądź konsulem francuskim, bądź posłem lub ambasadorem.

nam dzieło Odkupienia, od stworzenia świata do sądu ostatecznego, i kończy tymi słowy:

„Nie potrzebuję żadnych dowodów, i natężając
[słuch, by uchwycić słowa wymawiane przez kapłana,
„Wierzę w to wszystko, Panie, jedynie dlatego, żeś
[Ty to powiedział!“ (str. 26).

Offertorium. — Claudel rozumie dobrze, iż gdy kapłan po Credo odwraca się do ludu z wezwaniem „*Oremus*“, to wzywa go do współofiarowania ze sobą. Któż z nas nie ma nic do ofiarowania Bogu? — Trudy, prace, smutki, bóle, radości i pociechy nasze, — wszystko to możemy położyć na patenie obok białej hostii mszalnej. Poeta pisał ten ustęp w chwili, gdy tylu młodych Francuzów składało ofiarę życia za ojczyznę. Rok 1917, — to rok krwawych hekatomb na wszystkich polach bitwy tej straszliwej Wielkiej Wojny. Do tego kielicha szlachetnej krwi rycerskiej dołącza Claudel i swoją ofiarę. W pierwszej zwrotce mówi o tym, który, poznawszy Boga i zrozumiawszy co jest „unum necessarium“, opuścił nagle wszystko i poszedł za wołaniem Pana. W drugiej strofie mowa o tych, co otrzymali od Boga jedno wielkie, wyłączne zadanie i stali się niejako jego wcieleniem. W 1900 roku, mając lat 32, Claudel myślał o opuszczeniu świata i poświęceniu się wyłącznie na służbę Bogu. Lecz w okolicznościach, które udaremniły jego zamiary, Opatrzność wykazała inne zamysły Boże nad tą duszą: Claudel pozostał na świecie, służąc Bogu i Kościołowi Jego swoim talentem, lepiej może i owocniej niż w celi klasztornej,

gdzie zasięg jego wpływu byłby znacznie mniejszy.

„Wszystkie rzeczy, któreś, Panie, uczynił, niczym są przed Tobą, póki ich nie ofiarujemy Tobie przez [Twojego Syna,
„Lecz trudno byłoby nam wyrzec się ich, gdyby nie to serce nasze cielesne, które jest Twym sprzymie- [rzeńcem.
„Chleb i wino, — wiemy dobrze, co one oznaczają!
„Nie darmo stworzyłeś, Boże, człowieka zdolnego umrzeć, gdyż jest w nim głos przemawiający silniej [niż żądza, i chciwość i rozkosz,
„A jest nim przekonanie, że on jest potrzebny, że się na coś przyda, że jest ktoś, co się domaga od niego [ofiary z całego jestestwa.
„Nie ma zrodzonego z niewiasty, co by tego nie [rozumiał.
„To jest piękne, i to zapewne powołało go nie- [gdyś do życia!
„Kto się ma za pana samego siebie, nie słyszał chyba nigdy straszliwego wołania Ojczyzny w niebez- [pieczeństwie!
„Ci, którzy odmawiają Tobie wiary, Panie, czy by [nie odmówili Ci i życia, gdybyś go od nich zażądał?
„Wola nasza krótka a rozum ciasny; nie zostawiaj nie wyjścia, Panie! Jeśli prawdą jest, że mnie [potrzebujesz, — to mię bierz!"

Claudel jest wiecznym pielgrzymem na ziemi; zawód dyplomatyczny miota nim po całej kuli ziemskiej. Niedarmo liturgia nazywa to życie śmiertelne — wygnaniem, i śpiewa tęskne pieśni, nucone niegdyś przez Izraela nad rzekami babilońskimi. Claudel jest poetą morza, poetą tęsknoty, poetą wygnania. Poezja jego odrywa nas od świata, od zwodniczych pozorów, od

złudzeń, od przypadkowości rzeczy doczesnych, i rzuca nas do stóp Tego, co sam jeden Wieczny jest i Niezmienny. Toteż w *Prefacji* poeta wielbi Go i śpiewa Mu z Aniołami i z Archaniołami, z Tronami i Panowaniami potrójne Sanctus i entuzjastyczne Hosanna.

Następuje *Konsekracja*, sam szczyt Mszy św., gdy kapłan, przemawiając w imieniu Chrystusa Pana, przemienia potężnym słowem chleb i wino w Ciało i Krew Zbawiciela. Należało by tu przypomnieć, co Claudel już powiedział w innym miejscu[2]), a co tutaj powtarza w streszczeniu: Eucharystia jest tym punktem jedynym, w którym czas styka się z wiecznością, w której materia nie jest nam przeszkodą, lecz środkiem połączenia z Bogiem. Tak jak co rano we Mszy św. we wszystkich krajach świata, ofiara Krzyża odnawia się bezkrwawo na ołtarzu, tak bez wątpienia poprzez wszystkie wieki dzieło Odkupienia odnawia się w duszy chrześcijańskiej.

Ofiara spełniona; pozostaje tylko wiernym, pod koniec Mszy św., uczestniczyć w ofiarnej uczcie przez *Komunię świętą*. Ze wszystkich modlitw liturgicznych, które ją poprzedzają, Claudel w swym poemacie wybiera jedną, najuroczystszą i najświętszą: *„Pater noster"*, i zatrzymuje się nad pierwszym jej słowem: Ojcze nasz... Czyż Bóg nie jest dziś, więcej niż kiedykolwiek, ojcem naszym, w tych chwilach tragicznych, gdy

---

2) „Physique de l'Eucharistie".

wszyscy mężczyźni poszli na wojnę, a tyle zostało na ziemi żon bez mężów i dzieci bez ojców?

Oto wreszcie *Komunia,* niewysłowiona chwila zjednoczenia. Oblubieniec i dusza; rozmowa bez świadków, serce przy sercu. Stwórca i stworzenie łączą się ze sobą węzłem nierozerwalnym. Królewski to dar, niewysłowiony i niezasłużony... Warto oddać wszystko za Wszystko!

„Ite missa est". — Idźmy zanieść Mszę w życie! — Wierni zebrani w kościele rozproszą się niebawem. Każdy pójdzie do swego zajęcia: do warsztatu, do biura, do szkoły, do rękodzieła, do kupiectwa, do zajęć domowych; każdy zaprzęgnie się do swej codziennej szarej pracy; ale praca ta pójdzie teraz inaczej, rozjaśniona, rozgrzana, usilniona, uświęcona tajemniczą Obecnością... Pracować będziemy we dwoje!

A na ostatek usłyszymy Ewangelię św. Jana, tę którą Krzysztof Kolumb czytał niegdyś rozhukanej nawałnicy morskiej, aby się uciszyła. Niechże ten święty tekst przemówi do huraganu wstrząsającego dzisiejszym światem, niech Pan raz jeszcze rozkaże wichrom rozszalałym i wzburzonemu morzu,

„A stanie się uciszenie wielkie".

S. M. R.

TEKSTY KLASYCZNE

MODLITWA PAŃSKA

Dziwnym zbiegiem okoliczności w jednym z dawnych klasztorów zniesionym przez rząd rosyjski zachował się rękopis oprawiony w formę książki.

Rękopis, jak wynika z dat podanych przez autora, pisany był w latach 1800 do 1805. Pisany dorywczo, bez uprzednio ułożonego planu świadczy, że autor nie miał zamiaru pisania dzieła, lecz myśli i uczucia swoje spisywał dla własnego użytku. Są to myśli ujęte w formę prostą, nie literacką, ale płynące ze serca przejętego gorącą miłością Boga i troską o zbawienie duszy.

Nazwiska swego autor nie podaje wcale. Z zapisków zaś kronikarskich tego rękopisu dowiadujemy się, że był członkiem klasztoru dominikańskiego w Wielkim Kole, diecezji sandomierskiej.

Z rękopisu tego podajemy początkowe rozważanie o Modlitwie Pańskiej zatytułowane: „Wykład pacierza przy przygotowaniu na śmierć".

Redakcja

1. *„Ojcze nasz".*

Ja wierzę, mój Boże, że Ty jesteś w niebie. Wierzę, że Ty jesteś Ojcem moim, któryś mi dał życie natury i łaski i od którego się spodzie-

wam życia chwały. Ponieważ jesteś Ojcem wszystkich ludzi, czemuż ja nie mam Cię zwać Ojcem moim.

O! jakże się cieszę, że mam Ojca tak dobrego, tak świętego, mądrego, mocnego i miłosiernego. Ponieważ mi dałeś życie doczesne, mam nadzieję, że mi dasz także i wieczne.

Mój Ojcze! zgrzeszyłem przeciwko niebu i Tobie, nie jestem godzien, abym nosił imię syna Twego, ale mię przyjmij, jeżelić się tak podoba, w liczbę Twoich niewolników.

Mój Ojcze! jeżeli można, niechże ten kielich śmierci minie i oddali się ode mnie, żebym go nie pił. W tym jednak wszystkim niech się Twoja wypełni wola a nie moja.

O mój Ojcze! oddając Ci to życie, któreś mi był dał, żałuję serdecznie, żem go na złe zażywał obracając je na obrazę Twoją. Mój Ojcze! *uwielbijże Syna Twego, aby Cię Syn Twój wielbił.* A ponieważ ja nie umiałem Cię czcić na ziemi, uczyń, abym Cię wielbił i żebym Cię czcił w niebie.

2. *„Który jesteś w niebie".*

Ty jesteś w niebie, mój Boże, a ja jestem na ziemi. Ty jesteś na miejscu pokoju, a ja jestem na placu wojny. Ty jesteś w niebie, abyś mi gotował nagrodę — a ja jestem na ziemi, abym Ci służył, abym Cię kochał, abym Cię czcił. Ach! jeszczem tego czynić nie zaczął. Lubo że jestem i złym i niewdzięcznym, spodziewam się jednak, że będę prędko w niebie z Tobą,

a nadzieja moja oparta jest na Przenajdroższej Krwi, którą Jezus Chrystus, Syn Twój, dla mnie wylał. Ach! kiedyż przyjdzie ten dzień. O jak mi obmierzła ziemia, gdy spojrzę w niebo! O niebo! czegoż czynić nie powinniśmy, abyśmy na cię zarobili! Wszystko, cokolwiek cierpię, niczym jest wobec tego, czego się spodziewam.

3. *„Święć się Imię Twoje".*

Imię uwielbienia godne Boga mego! Przyszedłem na świat jedynie dlatego, abym Cię święcił, a ja na świecie nic innego nie czynię, jak tylko to, co do pohańbienia Twego zdąża. Czyniłem co tylko mogłem, aby uwielbić imię moje, zamiast czynić to, czym bym uwielbił Imię Twoje.

Proszę Cię o odpuszczenie, Królu chwały i majestatu i poprzysięgam Cię przez Twoje najświętsze Imię, abyś miał nade mną miłosierdzie. O przenajświętsze Imię Jezus, ty jesteś wszystką moją nadzieją. Ktokolwiek wzywać cię będzie z wiarą i ufnością, będzie zbawiony. Wzywam Cię więc ze wszystkiego serca, z najwyższym uszanowaniem i największym nabożeństwem! Nie dozwólże nigdy na to, abym był potępiony.

4. *„Przyjdź królestwo Twoje".*

Kiedyż to, o mój Boże, przyjść ma królestwo Twoje? Kiedyż królować będziesz spokojnie w mym sercu; kiedyż jedynym panem ciała mego zostaniesz i duszą moją niepodziel-

nie rządzić będziesz? Nie uczyniłem nic dla Ciebie, ażebyś we mnie królował na ziemi. Całym życiem moim okazywałem, że nie chcę mieć innego króla — tylko cesarza. Dlatego godzienem śmierci, samem się osądził. Przyjmuję ją z całego serca, pragnę jej i proszę o nią, mając nadzieję, że po śmierci mojej pozwolisz mi wejść do Królestwa Twego. O jakże szczęśliwi są ci, którzy wiernie służą w tym życiu! Królować będą wiecznie w niebie. Ciesz się duszo moja — oto się zbliża królestwo boskie. Momentem jest czas cierpienia twego, a ten moment cierpienia przyniesie ci nagrodę wiecznej chwały. Wytrwaj aż do końca i nie trać korony, którą ci Bóg gotuje. Królestwo boże warte tego, byśmy dlań utracili nieco krwi, abyśmy wylali cokolwiek łez, chcąc go dostąpić.

5. *„Bądź wola Twoja".*

O mój Boże! ponieważ nie czyniłem woli Twojej podczas życia mego, niechże ją uczynię przynajmniej przy śmierci. Oto ciało moje bólami napełnione, ściskają mię bóle śmiertelne ze wszystkich stron. Chciałbym, aby życie moje przedłużonem jeszcze było, abym czynił zadość za grzechy, które popełniłem i odkupił czas zmarnowany. Jeżeli jednak mimo wszystko chcesz, abym umarł, nie smucę się; niech się wola Twoja stanie a nie moja.

Chcesz, mój Boże, ażeby dusza moja oddzieliła się od mego ciała i żeby pokutowała w czyśćcu — zgadzam się. Chcesz, aby jeszcze zo-

stawała w tym ciele dla cierpienia ciężkich bólów, i ja tego chcę, zezwalam na to; niech się stanie wola Twoja — nie moja — jako w niebie tak i na ziemi.

6. *„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj".*

Szczęśliwy ten, który pożywać będzie chleba w królestwie boskim!

Dziękuję Ci, Ojcze kochany, żeś mi przez tak wiele lat dawał pokarm ciału i duszy, osobliwie zaś, żeś mi dał Chleb anielski, to jest Przenajświętsze Ciało Syna Twego, Jezusa. O Chlebie żywota! nie boję się więcej śmierci, ponieważem Cię pożywał przed śmiercią. Nie obawiam się więcej moich nieprzyjaciół umocniony będąc Twoją niebieską obecnością. Pójdę mocą tego chleba niebieskiego aż zajdę do góry Horeb, gdzie obaczę Boga. Obiecałeś i poprzysiągłeś, Prawdo wieczna, że ten — który pożywać będzie Ciała Twego i który będzie pił Twoją Krew — żyć będzie wiecznie. Ta obietnica rozprasza wszystkie moje bojaźnie, ona utrzymuje wszystkie moje nadzieje. Ponieważ byliśmy tak ściśle złączeni w tym życiu, nie ścierpisz tego, abyśmy byli od Ciebie oddaleni w przyszłym.

Dajże mi, o Jezu, chleba Twego na dziś, umocnij mię Twoją łaską na tak długą wieczności drogę. Bez tego Chleba osłabieję, ani dojść nie będę mógł bez niego do nieba.

7. *„Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom".*

Wielkość i liczba grzechów moich, Panie, jest niezliczona. Jeżeli według ich spisu i rachunku sądzić mię będziesz — jestem zgubiony. Nie mam już sił modlić się — ani pościć — ani pokutować. Cóż tedy uczynię, abym mógł zmiękczyć Twoją sprawiedliwość i być upewnionym o zbawieniu moim? Obiecałeś odpuścić temu, który odpuści i uczynić miłosierdzie z tym, który je uczyni z bliźnim swoim.

O mój Boże! odpuszczam z całego serca wszystkim tym, którzy mię obrazili i proszę Cię, abyś im nie poczytał za złe, co mi uczynili. Proszę o tę łaskę dla nich i ofiaruję Ci moją śmierć w łączności ze śmiercią Syna Twego na zadośćuczynienie za ich grzechy.

8. *„I nie wódź nas na pokuszenie".*

Teraz, mój Boże, potrzebuję Twej łaski i pomocy, bo oto nieprzyjaciele moi otoczyli mię ze wszystkich stron. Oto lew ryczący wyszedł z piekła, aby mię pożarł. Gdy jednak Ty będziesz ze mną, bać się nie będę zakrwawionej tej bestii. A lubo pójdę w ciemności śmierci, obawiać się nie będę, gdy będę z Tobą.

Wstańże tedy Boże wojsk, pokwap się na pomoc moją, poślij św. Michała z świętymi Aniołami Twymi, aby się potykali z moimi nieprzyjaciółmi. Ty znasz słabość moją, niemasz większej na świecie, nie pozwalajże czartu, aby mi szko-

dził. Zakaż mu, aby mię nie kusił, a przynajmniej nie dozwól, abym uległ pokusie.

9. *„Ale mię zbaw ode złego"*.

Ode złego cielesnego, na com zasłużył, ode złego duchownego, którym mi grożą, zbaw mię od największego ze wszystkich złego, którym jest piekło.

Przyjmuję z wdzięcznością wszystkie bóle, które cierpię, gotów tam iść, kędy Ci się podoba. Ale, o Boże miłosierdzia! zaprzysięgam Cię na śmierć i mękę Syna Twego, abyś mię nie posyłał do piekła. Jakżeż to możliwym, abym ja był całą wieczność bez możności chwalenia i kochania Ciebie! Zawezwij mię do nieba, do towarzystwa Twoich świętych, gdziebym Ciebie mógł błogosławić na wieki.

WZORY DO NAŚLADOWANIA

W 100-ą ROCZNICĘ URODZIN MATKI M. KOLUMBY BIAŁECKIEJ (1838—1938).

Przechodzą przez tę ziemię istoty ludzkie, tak czyste, jakby w nich niebo pochylało się ku nam, jakby światło, czerpane u stóp Boga, widzialnie opromieniało całą ich postać... W oczach swych niosą przez swe życie jakby cichy i pogodny uśmiech niebieski, „nie z tej ziemi", ponad którą ulatuje ich dusza w zachwycie, kładącym czarowny stygmat Boży na ich oblicze.

Nawet ludzie, daleko stojący od Boga, muszą uznać ten czar Boży, który bije od tych niewinnych dusz, siejąc dokoła poświatę nadziemską. I oni muszą wyznać, że: „są porywy tak czyste — jak rwąca się ku wyżynom myśl rozkwitającej duszy i tak świeże i dziewicze — jak zdumienie budzącego się dziecka, co oczy na głębie życia roztwiera..."[1])

Do takich postaci należy ponad wszelką wątpliwość — w orszaku świątobliwych dusz polskich — Matka Maria Kolumba Białecka, założycielka ss. Dominikanek od Najśw. Sakramentu[2]).

***

---

1) Stanisław Przybyszewski — „Odwieczna baśń", 1906, str. 47.

2) Por. O. Franciszek Świątek C. SS. R., „Świętość Kościoła w Polsce", Kielce 1930, Tom I, str. 315 i n. — Józef

M. Maria Kolumba Białecka urodziła się dnia 23 sierpnia 1838 r. w Jaśniszczach niedaleko Podkamienia, w Małopolsce Wschodniej.

Rodzice jej, Anna Ernestyna z Radziejowskich i Franciszek Białeccy, byli ludźmi bardzo zacnymi i głęboko religijnymi. Ponieważ przyszła na świat na tydzień przed świętem wielkiej św. Róży z Limy, nadano jej na chrzcie św. symboliczne imię: Róża.

W najmłodszych jej latach wyraźnie zaznaczają się już wielkie skarby prawdziwie wybranej duszy. Od dzieciństwa cechują ją dwie uderzające cnoty: anielska czystość i czynna miłość bliźniego, okazywana wobec okolicznego ludu polskiego i ruskiego.

Od najmłodszych lat też kołata w jej duszy stałe i niezłomne postanowienie, by oddać się w całopalnej ofierze Zbawicielowi świata przez śluby zakonne, wyproszone przez jej św. Patronkę, Różę, Dominikankę. W realizacji tego postanowienia napotkała poważne trudności różnego rodzaju, począwszy od jej słabego i wątłego z natury zdrowia, a skończywszy na oporze ze strony rodziny, która zdecydowanie przeciwstawiała się planom zakonnym młodej i zapalnej panienki.

Jakby — na dobitek — sama szukała nowych trudności, bo obrała sobie za cel swych marzeń... odległy klasztor ss. Dominikanek w Nancy, we Francji.

Róża Białecka jednak zwycięża wszystkie przeszkody swą gorącością ducha...

W dziewiętnastym roku życia opuszcza rodzinę na zawsze, a 80 lat temu — w r. 1858 — otrzymuje w Nancy białą suknię dominikańską. W następnym roku złożyła śluby zakonne, przyjmując imiona: Marii Kolumby.

Niedługo jednak pozostała we Francji...

St. Pietrzak, „M. Maria Kolumba Białecka" w czasop. „Powściągliwość i Praca", Miejse Piastowe, marzec 1927. — O. M. Pirożyński C. SS. R., „Zakony żeńskie w Polsce", Lublin 1935, str. 157 i n.

Zapał apostolski każe jej wrócić do Ojczyzny i założyć tu osobne zgromadzenie ss. Dominikanek polskich o specjalnych zadaniach, dostosowanych do potrzeb wsi polskiej.

Cel swego zgromadzenia tak sama określiła:

„SS. Dominikanki — prócz pracy nad osiągnięciem własnej świętości — poświęcić się mają wykształceniu ludu wiejskiego, najbardziej zaniedbanego pod względem religijnym i moralnym; będą go oświecać, w chorobie pielęgnować, ich dzieci uczyć, a sierotki chować, nauczać katechizmu i konających do szczęśliwej śmierci przysposabiać, zaś zmarłym ubogim do grobu asystować...“

Pierwszy klasztor polskich Dominikanek założyła Matka Białecka w Wielowsi, w diecezji przemyskiej, dzięki pomocy hrabiego Tarnowskiego z Dzikowa i ks. Juliana Leszczyńskiego w r. 1861 (tradycja zakonna przyjmuje tu r. 1860).

Gdy wybuchło powstanie w r. 1863, Matka Białecka zakładała dla walczących powstańców szpitaliki i sama — ze swymi siostrami zakonnymi — usługiwała rannym naszym bohaterom, umacniając ich silną ufnością w niechybne zmartwychwstanie Polski...

Nie oszczędził P. Bóg krzyżów nowemu zgromadzeniu, ale — przez cierpienia i próby — prowadził je do trwałego rozwoju i rozkwitu nie tylko na ziemiach polskich. W r. 1928 ss. Dominikanki M. Białeckiej (zwane również „Dominikankami III Zakonu“) rozciągnęły swą działalność na Amerykę.

Dom główny zgromadzenia znajduje się obecnie w Białej Niżnej (p. Stróże) w diecezji tarnowskiej. Przełożoną generalną jest dziś Matka Maria Agnieszka Preisler. Wszystkich domów w Polsce liczy zgromadzenie obecnie: 34, sióstr przeszło 300.

Świątobliwej Założycielce nie było dane oglądać rozwoju swego zgromadzenia, które ukochała prawdziwie matczynym sercem...

Nie oszczędzała się. Nadmierną pracą i poświęceniem nadszarpała poważnie swe zdrowie. Gdy w okolicy Wielowsi wybuchła cholera, Matka Kolumba dzień i noc czuwała przy chorych i własnoręcznie grzebała umarłych, których inni bali się dotknąć.

Wyniszczona pracą i gruźlicą płuc zgasła w przeddzień święta Patrona szczęśliwej śmierci, św. Józefa, dnia 18 marca 1887 r.

W ubiegłym roku jej córki duchowne obchodziły cichutko 50-lecie zgonu swej świątobliwej Fundatorki, cząc Jej pamięć — jak Świętej.

Nie uprzedzając wyroków Stolicy Apostolskiej, możemy jednak i... musimy stwierdzić, że Matka Kolumba Białecka wykazała w swym życiu podziwu godną czystość, bohaterskie poświęcenie dla bliźnich, wielki dar modlitwy i nawet jej wyższe stopnie, dar zachwytów i widzeń i i.

Ponad wszystko jednak wybija się jej postać: jako czystego anioła niewinności i dobroci, który spieszy tam, gdzie największa nędza materialna i moralna. I pragnęlibyśmy, by taką jawiła się nam w tę setną rocznicę urodzin, — by taka przeszła w pamięć i serca rodaków, dziś tak doświadczonych na wsi, tam, gdzie ta „Gołąbka" (Kolumba!) czuła się najlepiej, gdzie znalazła cel swej pracy zakonnej i swoich sióstr i córek duchownych... Jej setna rocznica urodzin *jest świętem, najbliższym sercu wszelkiej wiejskiej biedoty!*

Ks. Henryk Weryński

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

CHWALEBNE ZMARTWYCHWSTANIE

(KANONIZACJA ŚW. ANDRZEJA BOBOLI).

Chrystus zmartwychwstał.

Dopiero w świetle tajemnicy wielkanocnej rozumie się dzieło zbawcze w swym ostatecznym wykończeniu: Nie krzyż był jego celem finalnym, ale stopniowe zwyciężanie zła i grzechu przez cierpienie i śmierć, by z kolei one zwyciężone zostały chwalebnym zmartwychwstaniem Pańskim.

Dla chrześcijan, tych sobowtórów Chrystusowych — w myśl Kościoła: „Christianus alter Christus" — nie inaczej się ta prawda przedstawia: cierpienie i śmierć mają doniosłą, nieodzowną rację bytu w życiu chrześcijańskim: sprzeciwiania się mocy zła i grzechu, neutralizowania ich wpływu, równoważenia szali nieprawości miarą bolesnej, ale skutecznej ekspiacji. Na tym nie kończy się wszakże sens życia ludzkiego i zamiarów Bożych nad wybranymi. Cierpienie nie istnieje samoistnie dla cierpienia, choćby z miłości podjęte, ale cierpienia i śmierć są środkami — najskuteczniejszymi wprawdzie — lecz tylko środkami przyoblecenia kiedyś chwalebnego ciała nieśmiertelności na modłę Głowy naszej i wodza — Chrystusa. To stanowi dopiero sens najgłębszy życia chrześcijańskiego. Otóż prawdę tę podkreślił osobliwie namiestnik Chry-

stusowy właśnie w dniu wielkanocnym wynosząc na ołtarze wielkiego naszego orędownika: św. Andrzeja Bobolę.

Cierpienia jego i męczeńska śmierć znalazły swe ostatnie słowo w tej wyjątkowej kanonizacji wielkanocnej. „Oportet" — przystało, by Chrystus cierpiał, aby tak wszedł do swojej chwały — powiada o nim liturgia. „Oportet" — przystało również, aby naśladowca Jego przeszedł przez niewymowne męki, przez katusze najokropniejszej śmierci, aby wraz z Chrystusem dzielić Jego chwałę.

***

Ten szary zakonnik — jeden spośród wielu — którego imię — zwykłą koleją rzeczy — byłoby dawno zaginęło w pomroce dziejowej, teraz wyniesiony na ołtarze przyodziewa się w szaty nieśmiertelności. Nieomylny autorytet następcy Piotra — po trzykrotnej błagalnej imprekacji protonotariusza o wydanie definitywnego wyroku Stolicy Apostolskiej — co do heroiczności życia sługi Bożego, przychylił się do tej prośby „instantissime" zanoszonej i najuroczyściej w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego w bazylice Piotrowej — wobec nieprzeliczonych rzesz duchowieństwa i pątników przybyłych z całego świata — wyniósł polskiego jezuitę na ołtarze i zaliczył w poczet Świętych Pańskich, a tym samym imię jego przechodzi raz na zawsze do nieśmiertelności. W porównaniu z tym jedynym w swoim rodzaju wyniesieniem, czym jest chwała należenia do akademii nieśmiertelnych? Kto faktycznie zna i pamięta nazwiska wybrańców tej szanownej instytucji ludzkiej, nie mówiąc już o ich dziełach? Kanonizacja przyoblekła też naszego świętego rodaka w pewnego rodzaju niecierpiętliwość: męki zadane ręką kozackiej czerni do czasu tylko naturę udręczały — dziś ślady katuszy pozostały widoczne na jego szczątkach cudownie zacho-

wanych od skażenia tak, jak ślady ran na ciele uwielbionym Pana naszego — ale jak tamte dla Zbawiciela tak i te dla świętego męczennika są i pozostaną na wieczność źródłem chwały.

W osobliwy też sposób przyjął uczestnictwo w duchowości ciała uwielbianego Mistrza swego: stanął ponad właściwościami rasy i stanu, ponad językiem i granicami kraju. Mniejsza z tym, gdzie jego kolebka i gdzie trumna spoczęły. Dziś wstąpił do społeczności świętych, w niej zaś wszyscy są sobie równi, domownikami królewskimi, a naszymi starszymi braćmi w Chrystusie.

Udziałem też jego będzie chwalebna rączość ciała uwielbionego: pęta jego raz na zawsze opadły, teraz korzysta z wolności czynu. Przykładem swoim nas uczy, iż należy więcej bać się Boga, niż ludzi, bo ci mają moc tylko nad ciałem i to do pewnych granic tylko.

Wreszcie światłość uwielbiona stała się wybitnie jego przymiotem: przykład jego promienieje; stał się „światłością w Panu" (Ef. 5, 8) i odtąd „przyświeca wszystkim, którzy są w domu" (Mat. 5, 15) Ojca. — Życie jego pozostawiło smugę świetlaną: kto w ślady jego wstąpi, nie zbłądzi.

M. Korytko

BUDAPESZT POD ZNAKIEM ŚWIĘTEJ EUCHARYSTII

Spośród tysiąca wrażeń, jakie przeżyli pielgrzymi polscy podczas XXXIV Kongresu Eucharystycznego w Budapeszcie, trzy elementy tej przewspaniałej manifestacji katolickiej wryły się najgłębiej w pamięć każdego z uczestników tych wielkich dni. Głębia katolickiej kultury duchowej miasta węgierskiego, serdeczność i przyjaźń, jaką na każdym kroku Węgrzy Polakom okazywali i pełna dostojeństwa sylwetka postaci pierwszego uczestnika Kongresu J. Em. Ks. Kardynała Legata Pacelli'ego, oto co może najbardziej zachwyciło w Budapeszcie. Być może, że kogoś mogła by zdziwić różnorodność tych wrażeń, niemniej jednak po głębszym namyśle przyznać trzeba, że stoją one w wielkiej ze sobą łączności, jeśli je rozpatrywać będziemy na tle całości Kongresu.

Od chwili przyjęcia chrześcijaństwa przez twórcę państwowości węgierskiej św. króla Stefana, katolicyzm znajduje tu na podłożu etnicznie obcym Europie niezwykle urodzajną glebę dla rozwoju Dobrej Nowiny. Już pierwsze lata chrześcijaństwa, które uszlachetniło wschodnie plemiona azjatyckich ludów o dużej skądinąd intensywności życia kulturalnego, są tego najlepszym dowodem. Św. Stefan i długi szereg świętych, z Emerykiem, Władysławem, Małgorzatą i Elżbietą na czele, oto postacie, które są w swej świętości wyrazicielami niejako głębokości przejęcia się całego narodu, zasadami Chrystusa. Być może nawet, że odrębność etniczna Wę-

grów przyczyniła się do intensywniejszego wchłonięcia i stosowania doktryn Nowego Zakonu. Jedno jest pewne niewątpliwie, że jakość katolicyzmu narodu-neofity była bardziej wartościowszą od reszty nacji europejskich, które mniej więcej w tym samym okresie przyjęły chrześcijaństwo. Wprawdzie jeszcze XII i XIII wiek jest okresem misyjnych eksperymentów na terenie Węgier, wysiłków przeprowadzanych głównie przez Franciszkanów i Dominikanów, przybyłych z Zachodu dla utwierdzenia tu Świętej Wiary, to jednak wysiłki te plon przyniosły przeobfity. Przecież już w XVI w. katolicyzm węgierski bronił Europy przed naporem półksiężyca, a bitwa pod Mohaczem, najtragiczniejsza bodaj z chwil katolicyzmu i narodu węgierskiego wykazała, jak wielką miłością zasad Chrystusowych utrwalił swe panowanie Krzyż na Węgrzech. Ale ofiary co najlepszych synów Ojczyzny nie przeszkodziły w inwazji wrogów do coraz to konsekwentniejszego zaboru Węgier. Zawsze jednak ciała węgierskich wojowników, podobnie jak i polskich, były jedyną zaporą islamu, który gdyby nie Węgry i Polska zawalił by z całą pewnością swoją potęgą ziemie zachodniej Europy. W chwili zaś tragicznej, kiedy Turcy zgarniali ziemie węgierskie, protestantyzm począł rozrywać na dwoje dusze katolików węgierskich. Właśnie wtedy, w chwilach tak bardzo ciężkich dla Węgrów, znalazł się człowiek niepospolitego umysłu, podobny zresztą wielce w swych zasługach i zakresie dokonanej pracy do naszego kardynała Hozjusza, który również jak tamten węgierski purpurat do swojej ziemi, sprowadził do Polski Jezuitów. Kardynał Pazmany, arcybiskup Ostrzyhomia, tak brzmi nazwisko tego wielkiego męża, któremu Węgry zawdzięczają w XVII wieku przeprowadzone odrodzenie duchowe i religijne całego narodu. Reorganizacja bibliotek, szkół, seminariów i klasztorów, 3 uniwersytety i 42 szkoły średnie, oo. Jezuitów sprowadzonych przez kardynała Pazmany, to jego prac dorobek, to jego wyłączne zdobycze.

Tak by się z grubsza przedstawiał szkic rozwojowy dzisiejszego katolicyzmu węgierskiego. Już po wojnie światowej Węgry zwarli się w jedności religijnej jak najistotniejszej. Ale to już zapewne było skutkiem kilkutygodniowego panowania komuny w stolicy naddunajskiej. Te chwile wspominają dziś Węgrzy jako policzek najbardziej palący wymierzony ich umiłowaniom przeszłości i tradycji narodowej. Kongres ostatni wykazał jak najwyraźniej te wszystkie walory aktywności katolickiej wyrażające się w wzmożonej częstotliwości praktyk religijnych, w rozrastających się co dnia szeregach węgierskiej Akcji Katolickiej i głębokim przejęciem się katolicyzmem całej kultury duchowej Węgrów. Gdyby mi ktoś opowiadał o tym węgierskim katolicyźmie, o jego sile i natężeniu, może bym i nawet nie uwierzył. Ale trzeba było zobaczyć co najtęższych literatów węgierskich, składających hołd Najświętszemu Sakramentowi w Reducie Pesztu, trzeba było widzieć żołnierzy od najniższych do najwyższych rang przyjmujących Komunię św. na Pl. Bohaterów, rozmodlone tłumy i wszędzie na każdej imprezie kongresowej obecnych najwyższych przedstawicieli władz państwa z regentem Horthym, premierem Belą de Imredy, ministrem W. R. i O. P. Balintem Homanem na czele, aby móc kwestionować szczerość i prostotę uczuć religijnych tego szlachetnego narodu.

Istota aktywizmu religijności Węgrów leży w kulcie pierwszego władcy św. Stefana, w kulcie jego korony i łączącej się z nią poprzez setki lat historii, całym życiem politycznym i społeczno-kulturalnym Węgier. Rząd węgierski bodaj pierwszy w całości zrozumiał wartość płynącą z podniesienia się moralnego każdej jednostki węgierskiego narodu, każdego obywatela i każdej rodziny. Tym się też tłumaczy niebywała uczciwość tych ludzi, mieszkańców wielkiego miasta, sklepikarzy, portierów hotelowych, tramwajarzy czy szoferów taksówkowych. Żaden z nich nie usiłował nas „nabrać“ nawet na grosz. Sceptycy tłumaczyli to na-

stawieniem na turystykę całego społeczeństwa, ale porównajmy „nastawienie na turystykę“ Włochów czy innych narodowości, a znajdziemy różnice bardzo istotne zawsze na korzyść Węgrów występujące. Te tłumy przystępujące do Komunii św. w nocy podczas mszy św. odprawianej przez Prymasa Hiszpanii, Ks. Kardynała Izydora Goma'y Tomasa, albo wśród deszczu ulewnego padające w kałuże błota na kolana, podczas zakończenia Kongresu, oto wyraz zewnętrzny siły węgierskiego katolicyzmu.

To nie tylko ciekawość wywabiła mieszkańców Budapesztu nad brzegi Dunaju podczas procesji statków pod wszystkimi mostami stolicy, płynącymi w dół rzeki. I to nie tylko wrodzone poczucie piękna kazało im aż tak cudnie iluminować miasto nocą podczas tej niezapomnianej procesji. Widok samego miasta i położenie węgierskiej stolicy były tylko momentem wtórnym wielkości i wspaniałości Kongresu, ale momentem jak najbardziej dostosowanym do całości tych wielkich dni. Kult dla Najświętszej Eucharystii, oto istotna przyczyna i najprawdziwsza, entuzjazmu religijnego Węgrów, który podziwiali uczestnicy Kongresu.

Ta wspólna walka, jaką Węgrzy i Polacy prowadzili w obronie Św. Wiary poprzez wieki całe z islamem, stanowi też tło odwiecznej przyjaźni dwóch narodów. Uzewnętrznienie najszczerszych uczuć tej właśnie przyjaźni mieliśmy też okazję podziwiać na każdym kroku w ubiegłym tygodniu na Węgrzech. Kiedy podczas procesji kończącej Kongres Eucharystyczny ukazał się przez całą szerokość ulicy niesiony przez naszych akademików transparent z napisem: „Polonia semper fidelis!“ okrzykom i wiwatom tłumu na naszą cześć nie było wprost końca.

A przemówienia Ks. Kardynała — Prymasa Polski, wygłoszonego na zebraniu plenarnym po węgiersku, omal nie przerwano w połowie okrzykami: „Eljen Lengyelorszag!“, „Niech żyje Polska!“ Gdyby nie u-

widoczniające się na każdym kroku trudności językowe między nami i gospodarzami uroczystości i odmienność ich kultury, nie chciało by się wierzyć wprost, że ten naród nie należy do wspólnej nam grupy Słowian.

Centralną postacią całego Kongresu była osoba Ks. Kardynała Legata, dominująca wyniosłą, majestatyczną sylwetką swą nad pozostałymi 14 kardynałami i z górą 300 biskupami. Każdy ruch jego prawicy błogosławiącej tłumom podczas uroczystego otwarcia Kongresu przykuwał poprostu uwagę tłumów, ściągał na siebie setki tysięcy obserwujących całość uroczystości oczu pielgrzymów. I biła z tego człowieka naprawdę jakaś moc niezwykła, jakaś potęga władzy papieży, namiestników Chrystusa. Uroku tej wspaniałej postaci ani na chwilę nie przyćmiły strugi deszczu i zygzaki błyskawic, wśród których dobiegał końca XXXIV Kongres Eucharystyczny. Jeszcze wynioślejszą raczej wydawała się być Jego postać panująca od ołtarza nad całym tłumem zebranym na Pl. Bohaterów. Każde jego słowo, każdy gest na tle przepychu uroczystości zdawał się mówić o wielkości idei, którą ten człowiek reprezentował i o potędze organizacji Świętego Kościoła Chrystusowego, którego siła, wielkość jakkolwiek widoczna i dotykalna niemal, ani na chwilę jednak nie pozwalała wątpić, że i do tej wielkiej nadprzyrodzonej organizacji odnoszą się słowa Chrystusa: „Ale Królestwo Moje nie jest z tego świata“.

Leonard Hohensee

„MONUMENTALNE DZIEŁO"

Na Wielkanoc r. b. wyszło w Paryżu u Desclée nowe dzieło o św. Dominiku, zaopatrzone czerwoną opaską ze słowami: „Une oeuvre monumentale". Podpisane jest znanym w świecie naukowym nazwiskiem nieżyjącego już autora: Pierre Mandonnet O. P.

Zmarły dwa lata temu O. Mandonnet, dominikanin, profesor uniwersytetu Fryburskiego, był wybitną osobistością, znakomitym historykiem o głębokiej wiedzy i wprost genialnej intuicji, pierwszorzędnym znawcą wieków średnich, a w szczególności XIII stulecia, w którym powstał jego zakon. W epoce gdy pisząca miała szczęście słyszeć jego wykłady, nie tylko zadziwiające erudycją, ale i porywające wymową, O. Mandonnet przygotowywał swą monografię o „Siger de Brabant". Kreślił więc przed oczyma słuchaczów (literalnie przed oczyma, bo się widziało to, co mówił) barwny obraz kontrowersyj teologiczno-filozoficznych, roznamiętniających tłumy ówczesnych studentów paryskiej Sorbony, przybyłych tu na górę św. Genowefy ze wszystkich stron świata, aby słuchać takich mistrzów jak

Albert Wielki lub Tomasz z Akwinu, Wilhelm de Saint-Amour lub franciszkanin Jan Peckham, późniejszy arcybiskup z Canterbury. Wówczas studenci na rue du Fouarre[1]) zasiadali na ziemi na rozesłanej słomie, i obowiązani byli przynieść każdy świeczkę i kałamarz, bo Sorbona, choć sławna na całą Europę, nie znała jeszcze najelementarniejszego komfortu. Między luminarzami wszechnicy odznaczał się bystrym lecz zbyt śmiałym umysłem młody Brabantczyk Siger, który studiując Arystotelesa poprzez komentarze arabskich myślicieli, popadł w awerronizm, i zwalczany przez św. Tomasza został potępiony przez Kościół. Dante umieszcza wprawdzie „la luce di Sigieri" w czwartej sferze Raju, między słynnymi teologami, gdzie dwie świetliste girlandy jasnych pochodni obracają się jedna wokoło drugiej w przeciwnym kierunku, wydając przedziwną harmonię; nie wiedział widocznie, jak smutnym był koniec słynnego profesora paryskiej wszechnicy, który umarł jako heretyk.

O. Mandonnet był niezrównanym mówcą, ale mało pisał. W ciągu blisko 40-tu lat profesoratu wydał zaledwie kilka książek. Sam twierdził zawsze, że ma wrodzony wstręt do pióra, i mawiał: „Czytać, to radość; myśleć — rozkosz; pisać — męka!" (Lire, joie; penser, délices; écrire, supplice). Dzięki temu „pióro-wstrętowi" nie na-

1) Fouarre (starofrancuskie) = siano, słoma; tam się znajdował fakultet teologiczny, założony przez Roberta de Sorbon, kapelana i spowiednika św. Ludwika, króla francuskiego.

pisał on nigdy owego wielkiego dzieła o św. Dominiku i o początkach jego zakonu, o którym marzył i do którego nikt nie był bardziej sposobny niż on. Zebrał całe stosy materiałów, posegregował je, sklasyfikował, uporządkował. Ulegając prośbom pewnego belgijskiego czasopisma, rzucił nawet genialny szkic o swym wielkim Zakonodawcy. Bracia jego w św. Dominiku, uczniowie ukochani, przynaglali go do napisania tego wielkiego, monumentalnego dzieła, którego po nim oczekiwano. O. Mandonnet sam siebie oskarżał o „lenistwo". Ale był to raczej fizyczny zanik sił, spowodowany nadmierną pracą umysłową; stracił sprężystość potrzebną do wykonania takiego przedsięwzięcia. Czytał i myślał dużo, — ale nie pisał wcale. Często można go było zastać w celi — w le Saulchoir lub we Fryburgu szwajcarskim — przy stole zarzuconym książkami, obracającego bezradnie w zgrubiałych palcach zasychające pióro.

Pośmiertne dzieło dwutomowe, które wydał obecnie wierny jego uczeń O. M-H. Vicaire O.P.[2]), jest zbiorem fragmentów, szkiców, studiów, essayów, wydanych przez O. Mandonnet wedle potrzeb chwili, w rozmaitych czasopismach dziś przeważnie niedostępnych, na temat św. Dominiku i początków jego zakonu. Pierwszy tom nosi podtytuł *Etapes*, — drugi *Perspectives*. W pierwszym

---

2) Pierre Mandonnet O. P.: St Dominique, l'idée, l'homme et l'oeuvre, augmentè de notes et d'études critiques par M-H. Vicaire O. P., Professeur à l'Université de Fribourg; 2 vol. — Paris, Desclée de Brouwer et Cie, 1938.

stoi na czele ów wyżej wspomniany essay o św. Patriarsze, pisany w 1921 r. dla „Etudes religieuses“ w Gandawie; wydawca wzbogacił go studiami krytycznymi, znalezionymi w papierach pośmiertnych O. Mandonnet, oraz własnymi adnotacjami. Na ogólnym tle zarania XIII-go wieku szkicuje Autor wielką postać swego Zakonodawcy, jego charakter, odbijający się tak wyraziście na jego dziele, pierwsze stulecie jego rozwoju, organizację szkół średniowiecznych, życie doktrynalne pod wpływem tomizmu, prace apostolskie i misyjne zakonu, życie jego wewnętrzne i mistyczne, liturgię i sztukę u Dominikanów.

W drugim tomie — po części pióra O. Mandonnet, po części O. Vicaire i jego współpracownika O. Ladnera, opracowana jest misja zakonu kaznodziejskiego w Kościele oraz obszerna historia reguły św. Dominika, poprzedzona wnikliwym studium o regule św. Augustyna, która tamtej służy za podstawę. Na niej to bowiem św. Dominik oparł swoje Konstytucje, tak mądre i szerokie, a odpowiadające w zupełności wymaganiom czasu i celowi, jaki swemu zakonowi postawił.

Przebiegając tak etapy życia św. Zakonodawcy i początkowe fazy jego dzieła, uwidocznia się wyraźnie synteza trzech idei, nadających tej instytucji jej odrębną formę, jej moc i jej wartość. Są to: misja tego Zakonu w Kościele Bożym, ujęcie go w formę społeczności klasztornej i duch jego apostolski. Spadkobiercy myśli śp. O. Mandonnet trzymali się w tym planie wskazówek

zmarłego mistrza, który na dwa dni przed śmiercią polecił strapionym braciom, ubolewającym nad projektowanym a nie dokonanym dziełem, aby *disjecta membra* doprowadzili do ładu wedle szkiców i notatek, jakie znajdą w jego papierach, i dopełnili je artykułami jego, rozrzuconymi po różnych czasopismach.

Znaleziono w jego tekach niezliczone prace rozpoczęte: fascynujący tytuł; mieniący się świetnymi barwami wstęp, — potem 10 stron białych, niezapisanych; kilka punktów rzuconych notatkowo, a oznaczających etapy, które myśl będzie musiała przejść; i na tym koniec: artykuł ten nie został nigdy napisany! Dla jego wydawców jednak te wskazówki są nader cenne i pozwalają nieraz rekonstruować myśl zmarłego Autora.

Tak powstało to dwutomowe dzieło, prawdziwie pomnikowe, które, mimo szwów zdradzających inną rękę, jest jednak w całym tego słowa znaczeniu dziełem O. Mandonnet. Kilka rozdziałów pióra O. Ladnera lub O. Vicaire oznaczono ich inicjałami (R. L. i M-H. V.). Nie psują one wcale jednolitości książki, która wiernie odtwarza fizjonomię moralną św. Dominika, jako założyciela jednej z wielkich instytucyj religijnych w Kościele, i wykazuje jak to jego dzieło, natchnione potrzebami ówczesnego społeczeństwa, odpowiedziało im najzupełniej. Tę ostatnią pracę swoją dedykuje O. Mandonnet swym zakonnym braciom, i jego to własne słowa widnie-

ją na czele tej nowej monografii św. Patriarchy dominikańskiej rodziny:

„A mes frères du Saulchoir".

S. M. R.

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY

FRANCISZEK MAURIAC, *Pielgrzymi*. Przekład autoryzowany Jana Dobraczyńskiego, str. 103 + VIII, Wyd. Ks. św. Wojciecha.

Fr. Mauriac — ten wielki współczesny nam pisarz katolicki — mało jest niestety znany szerszym kołom inteligencji katolickiej w Polsce. Jego dzieł, przetłumaczonych na język polski, jest zaledwie kilka. Liczbę ich powiększa dobry przekład „Pielgrzymów", dokonany przez J. Dobraczyńskiego.

Niewielka ta a wspaniała książka jest świetną apologią miejsc świętych, cudami słynących. Te miejsca pielgrzymek i uzdrowień nieprzyjemne być mogą wielu współczesnym ludziom, którym kaprys, mody, obojętność lub wygoda życia każą zapomnieć o nędzy moralnej, biedzie i nieszczęściu tego świata. Miejsca święte są przykre dla nich przez obecność ludzi schorzałych, niedołęgów fizycznych i kalek... Chcą oni zawsze i wszędzie widzieć przed sobą życie w pełni swego szczęścia i radości, pulsujące równowagą i zdrowiem.

Inaczej jednak patrzy na miejsce cudów człowiek wierzący w nadprzyrodzone siły łaski i pomocy Bożej. Dla niego są one źródłem pociechy wewnętrznej, siły ożywczej, natchnienia i oczyszczenia i miejscem, gdzie hołd i chwałę można oddać Bogu.

I choć prawdą jest, że Chrystus powiedział: Królestwo Boże jest w was, — a prawdziwi czciciele nie w Jeruzalem oddawać będą cześć Ojcu, nie w Lourdes czy w Lisieux, ale *w duchu i prawdzie,* lecz równie

istotną i życiową prawdę stanowi zjawisko, że: „Jak Żydzi szukamy znaków; jak Tomasz chcemy kłaść palce w rany, bezwiednie przynagleni potrzebą dotknięcia się nadprzyrodzonej rzeczywistości", że „...chcielibyśmy także w chwilach ciemności i zwątpienia widzieć oczyma ciała. Nędzne to pragnienie, ale władcze!" — Oto — według Mauriac'a — tajemnica prosta pielgrzymowania.

I któż nie pielgrzymował? Pielgrzymowali wszyscy: prostaczkowie i uczeni. Do miejsc cudami słynących obok prostego tłumu szli hołd składać i Pégny i Pascal... I Montaigne i wielki ojciec racjonalizmu Kartezjusz, właśnie wtedy, gdy stwierdził zasadę: „myślę, więc jestem" — ludzie, którzy tak dotkliwe zadali ciosy wierze.

„Czy jesteś uczonym, czy prostaczkiem otrzymasz w Lourdes łaskę widzenia z całą prostotą, że „to wszystko prawda" — jak mówił konając Rimbaud.

Zatem „muszą być takie miejsca, gdzie każdy człowiek jakimkolwiek by był może stykać się z nadprzyrodzonością..." — stwierdza ostatecznie Mauriac.

Stef. Ch-ski

S. LEONIA, Niepokalanka, *Św. Katarzyna Genueńska.* Potulice, nakładem Seminarium Zagranicznego, 1938. Str. 52, cena 1 zł.

W kwietniowym numerze „Szkoły Chrystusowej", omawiając świeżo wydany polski przekład „Traktatu o Czyśćcu" św. Katarzyny Genueńskiej, wyraziliśmy żal, że książeczka ta nie zawiera żadnych danych o tej wielkiej a mało u nas znanej Świętej. Tłumaczka „Traktatu", S. Leonia, Niepokalanka, uzupełniła ten brak wydając teraz życiorys jego autorki. Książeczka napisana jest barwnie i zajmująco; łączy przystępność z wysokim kulturalnym poziomem i uderza piękną polszczyzną, — czego, niestety, nie zawsze o na-

szych hagiografach powiedzieć można, zwłaszcza gdy są przeznaczone dla szerszego ogółu. Wprowadza ona czytelnika w renesansowe środowisko, w którym żyła i działała św. Katarzyna, patrycjuszka genueńska na przełomie XV i XVI w. Kreśli młodzieńcze lata „Catarinetty", jej zamążpójście i nieszczęśliwe pożycie z młodym, pięknym, lekkomyślnym i niewiernym małżonkiem; jej modlitwy i pokuty, które wreszcie wyjednały u Boga nawrócenie Juliana Adorno; rosnącą świętość Katarzyny, dzieła miłosierdzia obojga małżonków, śmierć męża, życie wewnętrzne świętej wdowy i wysokie łaski mistyczne, którymi ją Bóg obdarzył. Książeczkę zamyka rozdział „Precz z ziemią!" (ostatnie słowa umierającej Katarzyny), oraz rzut oka na jej dzieła.

Życiorys patronki Genui, acz mały rozmiarami, jest głębiej ujęty i poleca się jako miła i wartościowa lektura, tym bardziej aktualna, że w ubiegłym roku obchodzono uroczyście 200-letnią rocznicę kanonizacji św. Katarzyny. Estetyczne zewnętrze, gustowna okładka, staranny i wyraźny druk podnoszą wewnętrzną wartość książki i przynoszą zaszczyt Seminarium Zagranicznemu w Potulicach.

NADESŁANO DO REDAKCJI:

LOUIS SOUBIGOU, *La croix et l'autel. Le sacrifice de Jésus et de son corps mystique.* — Lethielleux, Paris 1938. Str. 160. Cena 10 fr.

KARL RAHNER S. J., *Worte ins Schweigen.* Verlag F. Rauch, Innsbruck 1938. Str. 120.

MICHAEL GATTERES S. J., *Gottes Gedanken über des Kindes Werden.* Verlag F. Rauch, Innsbruck 1938. Str. 128.

P. THOMAS MICHELS O. S. B., *Die göttliche Gabe der Vollkommenheit.* Verlag F. Rauch, Innsbruck 1938. Str. 96.

A. P. ALCIETTE, *Le beau voyage ou deux enfants a Lourdes.* Lethielleux, Paris. Str. 124.

KS. KAZIMIERZ KOWALSKI, *Kwestia żydowska w średniowieczu według św. Tomasza z Akwinu.* — Nakł. Archid. Instytutu Akcji Kat., Warszawa 1938. Str. 34.

KS. H. WERYŃSKI, *Trąd i kwiaty.* W 25 rocznicę śmierci Ks. J. Beyzyma T. J. — Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków. Str. 32. Cena 80 gr.

KS. PIOTR TURBAK T. J., *Ku czci św. Andrzeja Boboli T. J.* — Kazania i przemowy. Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków. Str. 94. Cena 1,80 zł.

KS. FELIKS BODZIANOWSKI, *Pełnia życia.* Młodym Polkom i ich wychowawcom ku rozwadze. Wydanie II rozszerzone. Poznań 1938. Nakł. Księgarni Katolickiej. Str. 364. Cena 5 zł.

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI, *Gniew Boży.* Powieść. — Poznań 1938. Nakł. Księgarni Katolickiej. Str. 200. Cena 4 zł.

ZOFIA ROSZKÓWNA, *Maria, Patronka nasza.* Materiał na akademię lub wieczornicę w dzień Zwiastowania N. M. P. — Poznań 1938. Wyd. Katol. Związek Kobiet. Str. 94. Cena 1,20 zł.

Pisma ascetyczno-mistyczne Benedyktynek reformy chełmińskiej. Wydał Karol Górski. Poznał 1938. Księgarnia Uniwersytecka. Str. 174.

M. RICHAUD, Evêque, *Méditations à l'usage des Pélerins de la Salette.* Desclée de Brouwer, Paris. Str. 44. Cena 4 fr.

Jeden dzień skupienia miesięcznego. Wydanie II, Kraków 1938. Nakł. „Głosu Karmelu". Str. 80.

O. BERNARD od Matki B., Karmelita Bosy, *Życie mariańskie w Karmelu.* Kraków 1938. Nakł. „Głosu Karmelu". Str. 127.

Dr EMILIAN OSTACHOWSKI, *O. Rafał od św. Józefa, Karmelita Bosy.* Na trzydziestolecie zgonu. Szkic biograficzny. Nakł. OO. Karmelitów Bosych. Str. 78.

Podręcznik dla kandydatek Katol. Stowarzyszeń Kobiet. Biblioteka Kat. Związku Kobiet nr. 4. Poznań 1938. Str. 70. Cena 50 gr.

P. MATTHAEUS CONTE A CORONATA O. M. C., *Compendium iuris canonici ad usum scholarum,* vol. I-II. Marietti 1937. Str. XXIV + 675, XV + 629. Cena 70 lit.

P. dr CHRISTOPHORUS BERUTTI O. P., *Institutiones iuris canonici,* vol. VI : de delictis et paenis. Marietti 1938. Str. XVI + 258. Cena 18 lit.

Pamiętnik VIII Zjazdu w Częstochowie, 15-17. IV. 1936. Kraków 1937. Wyd. „Związek Zakładów Teologicznych w Polsce. Str. 384.

KS. PIOTR TURBAK T. J., *Św. Andrzej Bobola.* Wyd. II powiększone. Wyd. Apostolstwa Modlitwy. Kraków. Str. 48.

KS. ST. KUŹNAR T. J., *Św. Andrzej Bobola.* Wyd. Apostolstwa Modlitwy, Kraków. Str. 192.

WINCENTY DANEK, *Z niedoli obecnej ku źródłom szczęścia.* Wyd. „Salvator", Mikołów 1938. Str. 112.

Superiorum permissu. De licentia Ordinarii.

Redaktor: *O. Bernard Przybylski O. P.*